DRUGI NAKŁAD PO KONFISKACIE

Nr 5(6) 1 LUTY 1935 ROK II

Problemy

SKONFISKOWANO

Dwutygodnik Polityczno-Literacki. cena 30 gr.

TYTUŁ ULEGŁ KONFISKACIE

Już poraz trzeci z rzędu w styczniu dyskusja publiczna kieruje się na sprawę gospodarki w lasach państwowych. Nasza mizerna w innych działach dyskusja parlamentarna tu nabiera kolorów. Wprawdzie posłowie opozycji mało zabierają głos, bo mało **wiedzą** (uniedostępnienie dla nich materjałów) a posłowie z B. B. znów mówić muszą **oględnie** — niemniej echa tej dyskusji stały się takie, że opinja publiczna w Polsce zaczyna być coraz żywiej zaniepokojona tem, co się dzieje w „Lasach państwowych". Gigantyczne to przedsiębiorstwo, **drugie pod względem wielkości po P. K. P. przedsiębiorstwo etatystyczne** w Polsce, zbudowane na 100%-owych zasadach gospodarki kolektywistycznej, doprowadza bowiem w wyniku do:

1. Pozbawienia skarbu państwa **dochodów** z ogromnego majątku leśnego wskutek nieudolnej, źle skonstruowanej gospodarki administracyjno-handlowej.
2. Prowadzi do wyniszczenia samych lasów wskutek złej gospodarki hodowlanej (nieprawidłowy wyrąb).

Straty państwa idą w miljony.

Że gra tu nie idzie jednak o szpilki, ale o **kilka miljardów** — o tem mówi statystyka. Olbrzymi obszar ponad 3 milj. ha lasów czyli 1/3 całej powierzchni lasów polskich należy do Państwa. Majątek państwa w lasach państwowych wynosi conajmniej k i l k a m i l j a r d ó w a dochód z tego **olbrzymiego majątku** winien skarbowi państwa przynosić conajmniej kilkadziesiąt miljonów złotych rocznie. Tymczasem co się dzieje?

Oto dowiadujemy się, że cały ten ogromny dochód przepada. Że przedsiębiorstwo „Lasy państwowe" dało zaledwie 7 miljonów złotych rocznego zysku, dało *zaledwie*, bo są to **grosze** w porównaniu do tych dochodów, które w myśl najprostszej kalkulacji kupieckiej winno odrzucać. Z oficjalnych sprawozdań wynika, że z 1 ha lasu ma skarb państwa równo **2 zł. 62 gr.** dochodu rocznie. Z tem zastrzeżeniem jeszcze, że lasy państwowe prawie że zupełnie **podatków nie płacą**. Czyli, że — jak niedawno jeden z publicystów słusznie zauważył — gdyby dziś państwo rozdała zadarmo swoje lasy pierwszym napotykanym na ulicy przechodniom, to tranzakcja ta, mimo sprzecznych pozorów, byłaby jeszcze dla państwa świetnym interesem: bo z samych podatków pobieranych od obdarzonych obywateli ściągałoby państwo kilkakrotnie więcej pieniędzy, aniżeli ich uzyskuje dziś w formie wpłaty zysku przedsiębiorstwa „Lasy państwowe".

Dlaczego ten stan rzeczy ma miejsce?

Odpowiada nam na to „zielona książka".

„Zielona książka"

Prawie że nieznana jest broszura w zielonej oprawie (zabawnym przypadkiem zupełnie przypominającej kolor i format dorocznych sprawozdań dyr. Loreta) p. t. „Sejm. Senat i Najwyższa Izba Kontroli o Administracji Lasów Państwowych", wydana w roku 1933 przez Gebethnera i Wolffa. Nie zawiera prócz krótkiego wstępu nic innego jak tylko przemówienia parlamentarne posłów blokowych i opozycyjnych w dyskusji nad budżetem Ministerstwa Rolnictwa (podług djarjusza sejmowego) i wyjątki ze sprawozdania Naj. Izby Kontroli w sprawie gospodarki w lasach państwowych. Z suchych stenograficznych notatek djarjusza sejmowego przebija prawdziwy **tragizm** ludzi, którzy co roku *w tej samej* sali komisji budżetowej czynią *temu samemu* człowiekowi *ten sam* bolesny wyrzut, że doprowadza do upadku gospodarkę w lasach państwowych, motywując go szeregiem zdawałoby się niezbitych argumentów i w rezultacie... nie doprowadzają do niczego, nie otrzymują nawet żadnej odpowiedzi. Bo dyr. Loret jest podobno *nienaruszalny* ze swego stanowiska Generalnego Dyrektora Lasów Państwowych. Dlaczego? Nikt tego nie wie. Swego czasu specjalna komisja powołana przez prezesa B. B. badała z jego polecenia gospodarkę w lasach państwowych. Wnioski komisji były podobno tak druzgocące, że do dziś dnia ich nie opublikowano.

Powody

Tegoroczna dyskusja sejmowa potwierdziła, że powodem fatalnego stanu rzeczy jest:

1. Ogromny rozrost machiny etatystycznej. Dziś „Lasy państwowe" nie poprzestają na produkowaniu drzewa, lecz przystąpiły do wzięcia w swoje ręce i przeróbki na sortymenty ciosane, na półfabrykaty, (papierówka, kopalniaki, słupy). Zaczęło się od zakładania tartaków, potem przyszła kolej na fabryki dykt. Dziś „Lasy państwowe" wyrabiają fryzy i klepkę, destylują żywicę, administrują kolejkami, budują mosty, zarządzają majątkami rolnemi, działkami szkolnemi i kościelnemi, a nawet hodują **karpie i węgorze**, a nawet **zwierzęta futerkowe**. I — jak w etatystycznej gospodarce to bywa — zyski pozostały na papierze. Przyszła plajta, klapa.

Nie chcąc dawać pozorów demagogji w argumentacji, nie będziemy wchodzić w szczegóły wysokich gratyfikacji, w których Naczelna Dyrekcja — zapewniamy — poszkodowaną nie było. A jak etatystyczna gospodarka wychodziła na dobre „światowi pracy", świadczą słowa senatorki Kłuszyńskiej:

> „Warunki pracy w lasach państwowych, są pożałowania godne. Winię za to generalnego dyrektora lasów państwowych, który wśród robotników, zasłużył sobie na nazwę satrapy".

2. Połączenie w osobie Nacz. Dyr. L. P. uprawnień z dziedziny hodowli z jednej, a eksploatacji i sprzedaży drugiej strony — naraża lasy państwowe na niebezpieczeństwo dominowania kierunku wyciągania jaknajwiększych zysków z lasu, nad kardynalną zasadą utrzymywania lasów państwowych, w należytym stanie, dla przyszłych pokoleń.

W „zielonej książce" znajdziemy taki ustęp z przemówienia sejmowego Min. Ludkiewicza, w 1933 roku:

> „...Polska nie miała polityki leśnej. Sowiety mają teraz taką politykę. Wydawała się nam strasznie głupia, a w rok później robimy to, co oni. Rozpoczęli od dumpingu, żeby wleźć na rynki, a później zaczęli wywozić produkty coraz więcej uprzemysłowione, standaryzowane. Tę sprawę będę miał na warsztacie".

Min. Ludkiewicz, wkrótce jednak po tem odszedł i odtąd żaden z ministrów rolnictwa, sprawy lasów państwowych „na warsztat" nie wziął.

* * *

Do sprawy przedsiębiorstwa „Lasów państwowych", jeszcze niejednokrotnie powrócimy. Jest to bowiem dla nas, antyetatystów, kapitalny argument antyetatystyczny. Na przykładzie fatalnych wyników gospodarczych w „Lasach państwowych", mamy wzorową próbkę tego, coby się w Polsce działo, gdyby zostały kiedyś przypadkiem wprowadzone w życie, etatystyczne mrzonki rozmaitych „państw zorganizowanej pracy".

M. P.

Ostrożniej... wolniej... ciszej...

I. Pierwsze jaskółki... jesieni 1935.

Jeszcze się o tem nie mówi, przestano o tem pisać, zaczęto przygotowywać. Nikt nie może powiedzieć jak się one odbędą. Czy w jednym bloku, zwróconym przeciw wielofrontowej opozycji, czy w dwóch wielkich odłamach, prawicowym, tradycjonalistycznym, ustosunkowanym pozytywnie do wychowania relicijnego, prawa własności i wolności jednostki, i lewicowym t. j. laickim, radykalnym, etatystycznym, czy jeszcze inaczej. W jesieni 1935 mają się odbyć pierwsze w Polsce wybory od 1930. Mało się o nich teraz mówi, bardzo wiele natomiast rzeczy dzieje się już teraz pod ich kątem. I temi racjami należy je wyjasnić. W każdej kampanji wyborczej ciekawym jest nie ten moment gdy proklamowano ich rozpoczęcie, gdy obwieściły to dzienniki, radjo, wiece, ale ciekawym jest moment cichej kampanji przed, wyborczej gdy stronnictwa starają się o zamazanie w pamięci wyborców tego wszystkiego co ich musiało razić.

II. Trzy razy jak dotąd stawał reżym wobec wyborców:

Za każdym razem stawał z obliczem możliwie umiarkowanem, możliwie nieradykalnem pozbawionem napaści na Kościoł. napaści nawet z czysto laickiego punktu widzenia niemądrych, nieistotnych, niedzisiejszych. Trudno dziś utrzymywać by Kościół był siłą antydemokratyczną, przeciw wolnościową. W reżymie pomajowym wpływy lewicowe i jego początku i potem były zawsze silne. A jednak w momencie stawania przed urną wyborczą nie wysuwano tych ludzi, nie robiono tych gestów. W przededniu były Nieświeże, Dzikowy, było porozumienie z działaczami i sferami katolickiemi. Na listach wyborczych znalazły się takie własnie nazwiska i tacy właśnie ludzie.

III. Między urną a urną.

Kończyło się to z dniem zwołania sejmu i senatu, z początkiem pierwszych seryj. Im dłuższa była kadencja parlamentu, im wybory były odleglejsze, tem odwet lewicowych sił ugrupowania był silniejszy. Najdłuższą była kadencja ostatntego sejmu gdy nawet po swem zjednoczeniu opozycja nie miała większości. Okres ten był zarazem okresem najbardziej zdecydowanego radykalizowania. Był to okres entuzjazmów sowieckich. które swe oparcie znajdywały nietylko i nieprzeważnie w łonie „społeczeństwa". Był to okres reform w Ministerstwie Oświaty które niestety można nazwać conajmniej laickiemi. Okres, ten charakteryzuje należycie historja oszczerstw związanych z okresem tej „polityki młodzieżowej", która dała nam i Legjon Młodych i Straż Przednią, ze znanymi zachwytami dla komsomołów, bezbożniczemi frazesami i systematyczną akcją antyreligijną, marksistowską i radykalną. „Tradycja legjonowa" grała rolę smutnego szyldu. Był to wreszcie okres szeroko zakrojonej akcji prasowej za eliminacją czynników prawicowych i katolickich z Bloku, z ubiegłej jesieni. Solidna, konsekwentna dobrze rozbudowana robota. Teraz niemniej konsekwentnie przygasa. Na najbliższe czasy nie należy jej się spodziewać.

IV. Wszystko się zacznie odnowa.

Wszystko się nawet od nowa zaczęło. Najsłuszniejsze ataki na konserwatystów zelżały. Linja ministerstwa oświaty jest możliwie umiarkowana. Organ lewicy blokowej raz jeden jeszcze zwinął swój atak frontowy, Legjon Młodych święci sztandary w kościele, służy do mszy (w Toruniu) Straży Przedniej pozwolono rozwijać się bez pupuilów i inspekcyj. Jeszcze latem, już po „rozłamie", Marjawici kolportowali masowo broszurę promarjawicką made in Legjon, gdzie „arcybiskup" Kowalski mówił do reprezentantów tej organizacji „jeśli należycie do Legjonu, jesteście prawie marjawitami". Niezawodnie ta broszura kolportowaną *teraz* nie będzie. Za rok, za dwa. Będzie się ją wycofywało jak się wycofuje inne wydawnictwa. To wszystko już teraz. Wybory będą na jesieni. Ale zakręt który trzeba wziąć jest tym razem większy niż przed wyborami roku 1922 przed wyborami roku 1930. To umiarkowanie, ten spokój i pokojowość, ten szacunek dla kościoła, wstręt do etatyzmu, trzeba cedzić stopniowemi dawkami. Kuracja musi być rozpoczęta dobrze zawczasu. Nagłą zmianę dostrzegliby wszyscy.

V. Prawicowej grupie posłów i senatorów BBWR dawano wielokrotnie do poznania że są oni zbędną, niepotrzebną, „czwartą brygadą", „Kulą u nogi" — pisało „Państwo Pracy". A jednak tę „kulę u nogi" doczepiano sobie najsilniej w momencie wyborczego biegu do mety. Zdaje się, że z powodzeniem. Nie uważamy kierowników BB za partaczy roboty wyborczej.

BEZPŁATNA PÓŁROCZNA PRENUMERATA

Każdy kto pozyska 5 prenumeratorów otrzyma jako premję bezpłatną półroczną prenumeratę.

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

SAGA NIEMIECKIEJ REPUBLIKI

(Długotrwałe samobójstwo — Hindenburg, wódz pokonany jako nowy Monarcha — tryumfy kamarylli — demokracja bez wvobraźni — kilka skrytobójczych ciosów — świadomy grabarz republiki, a przypadkowy grabarz monarchji).

Nazwisko Hindenburga było niewątpliwie nazwiskiem najczęściej wymienianem z pośród nazwisk niemieckich podczas wojny i po wojnie. Hindenburg to była ostoja Niemiec, port ich dobrego samopoczucia, Hindenburg reprezentował pychę rasową obracając przegraną w zwycięstwo. Hindenburg wreszcie biernością swoją i brakiem lojalności wobec obowiązków, które przejął z wyborem, a które zaprzysiągł walnie przyczynił się do zwycięstwa dyktatury narodowo-socjalistycznej. Te właśnie zjawiska próbuje zanalizować znany pisarz Emil Ludwig w książce zatytułowanej:

Hindenburg oder die Sage von der deutschen Republik.

Republika niemiecka przeszła już do historji. Był to twór zarówno sztuczny jak niewykończony, twór będący czemś w rodzaju permamentnej koalicji partji kierowanych przez wyjątkowo nieudolnych przywódców. Lecz nieudolność ta była szczególnego rodzaju. Nie brakło im ani fachowości, ani zdolności orjentacyjnych, byli to przeważnie ludzie o nienagannej przeszłości. Lecz we krwi tętniło im posłuszeństwo wpajane w Niemców od wieków. byli ofiarami kompleksu niższości wobec klasy rządzącej do wczoraj. Chcąc uspokoić przeciętnego mieszczanina, chąc zapewnić wszystkim poczucie bezpieczeństwa, zapomnieli o rewolucji, a weszli w nowy okres obciążenia niesłychanymi serwitutami, które dźwigać mogli tak długo dopóty nie znalazł się ktoś pokazujący śmiało i niedwuznacznie drzwi do wyjścia.

E m i l L u d w i g, który mimo wszystkie płytkości i j e d n o s t r o n n o ś c i w swoich pismach może uchodzić za znawcę sytuacji politycznej w Europie stawia wyraźne tezy w swojej książce o Hindeburgu. Są one następujące: Niemiecka republika zrodzona w dniu zawieszenia broni po wojnie światowej upadła z kilku przyczyn, pomiędzy któremi najważniejszymi były trzy:

1. fałszywa taktyka stronnictw republikańskich

2. wybór Hindenburga na prezydenta Rzeszy

3. bierność społeczeństwa niemieckiego.

Fałszywa taktyka polegała na tem, że stronnictwa republikańskie chcąc zjednać sobie gros opinji, nie umocniły swojej władzy. Jako wyjątkowe curiosum cytuje Ludwig fakt, że ilość oficerów nieszlacheckiego pochodzenia nie zmiejszyła się bynajmniej po wprowadzeniu republiki mimo, że oficerowie pochodzenik szlacheckiego byli bez wyjątku właściwie wrogo do republiki ustosunkowani. W urzędach pozostali słynni „Geheimraci", którzy po prostu zatrzymali całą władzę w swoich rękach, a republikańskich ministrów skazali na bezsilną obserwację swoich poczynań. I ci nie mieli, ani energji, ani zdolności do rozwiązania węzła, który prędzej czy później musiał doprowadzić do upadku regimu pseudo-republikańskiego.

Opis rządów Hindenburga dany przez Ludwiga w tej książce zasługuje bezwarunkowo na staranne odczytanie. Jest to kliniczny opis agonji, w którą popadła tak zwana republika. Hindenburg, starzec 80 letni, zostawszy prezydentem Rzeszy zachowywał się właściwie jak dobrotliwy monarcha. Nie kto inny tylko Hindenburg przyczynił się w znakomity sposób do podminowania wszelkiej myśli o restautacji Hohenzollernów. Niemcy stęsknieni władzy autorytatywnej mieli ją w osobie Hindenburga. Przecież sławniejszego, bardziej imponującego, bardziej niemieckiego monarchy życzyć sobie nie mogli. Miał tę wyższość nad Wilhelmem, że ani nie uciekł, ani nie zdezawuował swej władzy. Wytrwał i doczekał się tryumfu. Hindenburg pragnął powoli przywrócić pełną władzę sferom konserwatywnym zachowując pozory republikanizmu. Sterował na prawo. I tu los zrządził, że natrafił na doradców, którzy zawiedli w najbardziej decydujących momentach. Rywalizacja pomiędzy Schleicherem a Papenem doprowadziła do typowej sytuacji, w której władza przechodzi do — trzeciego. Ten trzeci, ten tertius gaudens był zagrożony przez dawniejszych inteligentnych doświadczonych ministrów, przedewszystkiem przez Brüninga, z dyletantami w stylu Papena dał sobie radę bez trudności.

A całej tej długiej tak zmiennej i tak trudnej do zrozumienia grze przypatrywał się naród niemiecki z fatalizmem godnym najbardziej wschodnich wzorów. Niewątpliwie ruszała się młodzież i byli żołnierze najmłodszych roczników. Lecz były to kadry bezrobotnych, tak czy owak niezdolnych do stałego trudnego, przeważnie źle wynagradzanego zajęcia. Hitler miał na swym żołdzie setki tysięcy, lecz mógł mieć miljony. Tak samo Stahlhelm, tak samo Reichsbanner (bojowa organizacja republika). Była to kwestja pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Dlatego spodziewał się wygrać wielki przemysł. dlatego trzymali się „republikanie" w Prusach ze swoim Reichsbannerem. Gdy dzięki większej znajomości ludzi, stosunków, dzięki niepowstrzymanej niczem aktywności zwyciężył Hitler członkowie innych prywatnych wojsk masowo zgłaszali się do niego prosząc o przyjęcie. I zwycięzca przyjmował ich wiedząc, że przecież nie o przekonania chodziło a raczej, że przekonania ma wódz a oni tylko ręce zdolne do trzymania karabinu. Nigdy może jeszcze w czasach naszych nie zrealizowała się z taką jaskrawością wizja wojsk najemnych.

Hitler wiedział, że władza leży u wezgłowia upartego feldmarszałka, tego mimowolnego grabarza dynastji i umyślnego grabarza republiki. Dlatego nie myślał nigdy nigdy o frontowem ataku na Berlin, nie myślał przez chwilę nawet o innym sposobie jej zdobycia jak tylko **przy pomocy środków oszałamiających.** Jeśli zdoła oszołomić miljony Niemców, cóż mu przeszkodzi w oszołomieniu umierającego, a w każdym razie nad grobem stojącego starca. Władzy bronił jenerał Schleicher i władzy bronił ulubieniec marszałka Papen Pierwszy zginął w zamieszaniu, a drugi zdoławszy się cudem uratować wiedział już jak ma w rozstrzygającym momencie postąpić. I gdy ten moment — śmierć Hindenburga — nastąpił — nie kto inny tylko ten ostrzeżony Papen wręczył nowemu władcy Niemiec testament zmarłego wodza odpowiednio do zmienionej sytuacji „zadaptowany". Uzyskał ją, lecz ktoby ją miał, gdyby przemówiły armaty Reichswehry? Czy „zastępy" hitlerowskie (Scharen jak mówi Ludwig) nie rozproszvłyby się piasek gdyby ujrzały przed sobą zwarte kadry stuprocentowo na wszelkie okazje przygotowanej Reichswehry? Na to pytanie już dzisiaj niema odpowiedzi, a to właśnie było i jest słabością Führera. Zależy od kogoś i ta jego zależność wyznacza linję polityce niemieckiej. Wszyscy to wiedzą, a nikt o tem nie mówi.

Lecz nie o nim mówi ta książka, książka ta opowiada o ostatnim Prezydencie Rrzeszy feldmarszałku Hindenburgu. Jak młody oficer z ubogiego lecz prastarego domu przebiegł wszystkie szczeble karjery, przedewszystkiem dlatego, że należał do tych, którzy na polach Czech w 66 r. a Francji w 70 r. szarżowali nieprzyjacielskie baterje i przez starego cesarza krzyżami odznaczeni zostali, jak potem w ciągu wojny szczęśliwy przypadek dał mu w ręce nie tylko dowództwo na froncie wchodnim w dniu, w którym wszystko dojrzewało do zwycięstwa, a przytem także idealnego szefa sztabu, który wszystko sam robił lecz sławą dzielił się half and half ze swym przełożonym. Temu szefowi sztabu zawdzięcza Hindenburg następne zwyciestwa na froncie wschodnim. Te zwycięstwa oddały mu potem w ręce stanowisko wodza naczelnego na wszystkich frontach. Nie zdołał niczego dokonać na zachodzie a mimo to rosnąca legenda zapewniła temu jenerałowi godność i powagę Ojca Ojczyzny po jednem zwycięstwie nad jeziorami mazurskiemi, po zwycięstwie przygotowanem i wywalczonem przez kogoś innego. Dziwny bieg wypadków...

M. R.

Książka Ludwiga o Hindenburgu

Książka Ludwiga, przy wszystkich zaletach swych, jest tak jednostronną, że zahacza o sposoby pamfletowe. Jak każdy pamflet, za wielką przypisuje wagę przypadkowi Przypadkiem więc było, że Hindenburg został powołany akuratnie na front wschodni, w momencie rozstrzygającym i że tam jenerał Renennkampf z nienawiści do jenerała Samsonowa nie śpieszył z pomocą w ciągu wielu godzin, rozstrzygającej bitwy, przypadkiem dodanie do boku Hindenburga, Ludendorffa, najzdolniejszego ze sztabowców niemieckich, przypadkiem wzmagająca się histerja Wilhelma II, i t. d. i t. d., aż do lat ostatnich, do tego miejsca, kiedy osowiały i nieorjentujący się już więcej Hindenburg, opuszcza w rozstrzygającym momencie Brüninga, aby oddać władzę w ręce Schlechiera, a potem Papena. Przypadek to, w danym razie, co najwyżej nazwa dla zjawiska niespodziewanego i przychylnego, dla bohatera tej książki. Bo on to miał właśnie wbrew Ludwigowi, umiejętność traktowania ludzi, umiejętność podporządkowywania ich, swoim zmysłom, wiedział dokładnie, gdzie uderzyć, a gdzie zahamować. A jeśli wszystko uszło mu płazem, jeśli zwyciężał w kraju, mimo klęsk poniesionych po polu bitwy, to przecież w dążeniu do stabilizacji stosunków w Niemczech i druga strona coś na sumieniu miała, a kierownicy ententy, prowadzili politykę zmierzającą wprost, do osadzenia Hindenburga, na stolcu prezydenckim.

A teraz wróćmy na chwilę, do republiki niemieckiej, do tego tworu nieszczęsnego, który przez lat kilkanaście niepokoił Europę, dawał pole do setek domysłów i setek podejrzeń, był tłumaczony, analizowany, komentowany, aż do dnia, w którym nie było już barw republikańskich nad Berlinem, lecz kołysała się śmiało na wietrze, swastyka, najbardziej awanturniczy ze sztandarów. W jego to cieniu, pierwszy od stulecia samowładca niemiecki, Adolf Hitler, zadał najdotkliwsze ciosy, tak monarchizmowi niemieckiemu, jak polityce rewanżu, która leżała w programie junkrów pruskich. Nie znaczy, by się jej wyparł, a tem mniej, by jej zaniechał, pójdzie ona w każdym razie innymi drogami i inną przybierze postać. To zaś, co się stało wewnątrz kraju, stanowi rozdział osobny, kapitalny przyczynek, do postawy konserwatystów niemieckich, przyczem była ona uwarunkowaną przedewszystkiem, nieznajomością ducha czasów, a jeszsze dokłndniej mówiąc techniki, przy pomocy, której można dzisiaj tłumy zdobywać.

Republikanie niemieccy, przyjęli w traktacie pokojowym, wszystkie serwituty monarchji. Jest to tem bardziej zdumiewające, że właśnie obok, w Rosji Trocki, rok wcześniej pokazał, jak się likwiduje nie tylko serwituty poprzedników, ale także ich samych. Koalicja powinna była coś dać za abdykację Hohenzollernów. Tymczasem niczego nie dała, ani dawać nie potrzebowała, ponieważ republikanie z największem pośpiechem nadstawili piersi za politykę niemiecką, prowadzoną podczas wojny. I nic dziwnego, przecież w kilka lat po zawarciu pokoju, największe tryumfy jako minister spraw zagranicznych, odnosił Stresemann, który przecież podczas wojny, należał, do najzaciętszych zwolenników aneksji i pisał się całkowicie na program wszechniemiecki. Ten sam polityk jako kanclerz i minister, likwidował okupację Rury, podpisywał układy w Locarno i targował się z największem powodzeniem, o reparacje. Republika jednak została wepchnięta dzięki własnym błędom i błędom państw koalicyjnych, w postawę defenzywną i na niej do ostatka wytrwała i upadła.

Bo gdyby nawet przyjąć, że ta rewolucja miała być całkowicie bezkrwawa, że nikomu z tych, którzy kierowali Niemcami, podczas wojny, nic się stać nie miało, że książęta mieli dostać wspaniałe odprawy, a były cesarz na wygnaniu w Holandji, pozostać tym samym najbogatszym Niemcem, jakim był przed wojną, to jednak istniała możliwość ochrony republiki i zdobycia dla niej, pewnej ilości zwolenników Możliwość tę znali ministrowie republiki, lecz jej nie wyzyskali. Prawica nie mogła powinna była wracać do władzy, przeież Hitler zwyciężył i wszedł do pałacu kanclerskiego, z kartką do głosowania w ręku. Ta formalność, dała mu władzę, a kosztowała życie republiki, istnienie socjalistów wogóle i 100.000 ludzi w obozach koncentracyjnych. Przecież tenże sam Hindenburg, podczas wojny groził w rozstrzygających momentach, swą dymisją, a nastraszony i pozbawiony woli cesarz, godził się w tej chwili, na żądania pewnych siebie generałów. W republice, żaden podobny akt nie zaszedł, nikt niczego się nie obawiał, nikt o nic nie walczył, a przecież ostatni pruski prezydent ministrów, Otto Braun piastował swe stanowisko lat 8, a minister spraw wewnętrznych Severing, nawet 9 z małą przerwą. I nic. Byli to przeciętni urzędnicy i siebie tylko za urzędników uważnli.

I tak zapadła się budowla, do której nikt nie chciał się przyznać, nawet ci, co ją ochrzcili i ci co ją reprezentowali. Pamiętajmy, że przecież przed wojną, Rzesza niemiecka, to był wielki zbiór rozmaitych państw, państewek, ustawodawstw i regonalizmów. I królestwa i księstwa, i miasta hanzeatyckie i dominja i przywileje i zastrzeżenia. Były to kolosalne pozostałości kilku wieków historji, przed szybkiem i dość niespodziewanem zjednoczeniem Niemiec, w sali zwierciadlanej wersalu w roku 1871. Bismarck stworzył fait accompli, co wymagało jeszcze znacznej pracy w szczegółach wykańczania, udoskonalania, zmieniania i ujednostajniania. Pracy tej na większą skale nikt już się nie podjął. Wiadomo, że Bismarck pozostawał w ciągłych zatargach nie tylko z parlamentem niemieckim, miał on mnóstwo spraw do załatwienia w zakresie spraw wynikających z jego polityki zagranicznej i kombinacji personalnych. Po Bismarcku tak ze względu na antypatję do Wilhelma II jak nieudolność jego kanclerzy, nie podejmowano już prawie żadnej pracy w tym kierunku. I przyszła republika. Republika miała pod tym względem nader wdzięczne pole do działania. Sytuacja wprost parła do rostrzygnięć w tym kierunku. Republika niczego nie zaczęła. Mozaika niemiecka się nie kończyła, a przeciwnie poszczególne państwa wyzyskały sytuację, różnorodność przepisów do podjazdowej walki, przeciw republice. Przecież więźniowie polityczni, ułaskawieni przez Reichstaig niemiecki, pozostali w Bawarji, w więzieniach nadal. Do tych wieźniów należał m. in. komunistyczny pisarz, Warnst Toller. I Reichstag niemiecki nie upomniał się o swoją uchwałę. Miało to przyschnąć... a w społeczeństwie niemieckiem, poza wszystkimi oportunizmami, reakcjami

Dokończenie na str. 6

KONFISKATA „PROBLEMÓW"

Konfiskata jest dla pisma opozycyjnego źródłem radości, przedmiotem chluby, pismo opozycyjne szczyci się konfiskatą. Konfiskata, która dotknęła nasze pismo naprawdę go dotknęła, naprawdę byładla nas moralnym ciosem. Wolelibyśmy, by jej nigdy nie było.

Wolelibyśmy, bo pismo nasze jest może przednią strażą rodzącego się w młodem pokoleniu ruchu, ale nie jest organem żadnej partji, żadnego stronnictwa, nie zdyskontuje swych konfiskat dla nikogo. Nasze pismo powstało poto by torować drogę pewnym myślom, by prostować pewne błędy, wypaczenia wielkich skądinąd idei. Powstało by mówić rzeczy nietylko szeptane, nietylko niedomawiane, ale i przykre. Powstało, by zbierając pewne fakty, wygłaszając pewne myśli uświadamiać społeczeństwu, rządzącym i rządzonym, zwyciężonym i zwycięzcom konieczność pewnych zmian. Zrobiliśmy co można, żeby się na konfiskatę nie narazić: przezto cierpiało wypowiedzenie naszych myśli, przezto dochodzą one do Czytelnika w zniekształconej, niepełnej formie. W naszym trzecim numerze poruszyliśmy w sposób najbardziej naszem zdaniem pośredni sprawę leżącą na sercu nas wszystkich, na sumieniu wielu. Jest dla nas niezmiernie przykrem, że wielkie puste miejsce na trzeciej stronie numeru zawarło tylko milczący znak protestu.

Polska jest krajem przechodnim, Polska jest krajem, który przejmował rzeczy innych, czasy nasze są czasami wielkich zmian, głębokich przeobrażeń. W tę przyszłość, w którą jedni chcieliby skoczyć rewolucją, w którą drudzy chcą się pogrążać stopniowem opadaniem, chcielibyśmy wejść świadomie, z pełnem zrozumieniem tego co nas czeka. Narody rozpoczynając wojny, nie zawsze wiedziały w co wchodzą. Cóż dopiero jeśli zmianę rozpoczyna nie mobilizacja, nie front, a rozporządzenie władz, przyrost paragrafów? Trzeba te paragrafy i te postanowienia tłumaczyć ich życiowym skutkiem, ich znaczeniem realnem, trzeba powiedzieć co się z takiem postanowieniem w historji Polski zaczyna, co się z niem nieodwołalnie kończy. W naszym ostatnim numerze, zgodnie z uprzednią zapowiedzią, uczyniliśmy to w jednym z najważniejszych, przynajmniej dla nas młodych, wypadku.

OSUM

Wielki margines

Więc zakończyła się wielka konstytucyjna debata w senacie, a „kwalifikowana" większość uchwaliła poprawki do tekstu przyjętego przez Sejm. Obecnie ustawa ta, może wrócić do sejmu, a tam zwyczajna większość głosów, którą rozporządza B. B. uchwalić może Konstytucję w brzmieniu ostatecznem. Mimo to, powszechnem jest uczucie, że tekst Konstytucji nie jest ostatecznym, że zajdą tam jeszcze jakieś zmiany, że gdzieś rozegra się ten właściwie ważny i właściwie istotny akt p r z e m y ś l e n i a, Nowej Konstytucji Rzeczypospolitej, Bo nasze ciała ustawodawcze, wierne zresztą nałogowi, w który je wprawił rząd od szeregu lat, krótko i zwięźle się obeszły z całem zagadnieniem. Można nawet obrazowo powiedzieć, że kilkuset dłońmi naszych ustawodawców, machnięto na ten tekst, zarówno dla podkreślenia pryncypalnej zgodliwości, jak żeby ukryć ziewanie.

Obecnie mamy nową kwestję przed sobą: ordynację wyborczą. Wprawdzie mówiło się do niedawna, że z uwagi na zwycięstwo pierwiastku autoratytawnego w konstytucji, ordynacja wyborcza po dawnemu wykazywać ma, demokratyczną tendencję, że więc niektóre zasady, jak pięcioprzymiotnikowość, głosowanie na listy, ilość mandatów pozostaną nienaruszone, lecz im bardziej zbliżamy się do końca kadencji sejmu i senatu, tem wyraźniej słyszy się głosy za zmianą ordynacji wyborczej. Istotnie nic bardziej podatnego do krytyki, jak ordynacja wyborcza do sejmu i senatu. Tutaj poprostu, aż ciemno w oczach od dowodów, kontrdowodów, wniosków i tez. Lecz daleko nam jeszcze do merytorycznej dyskusji, co zmienić w szczegółach, co uzupełnić w głównych zasadach i nie wszczynamy jej w „Problemach". Wiemy, że ordynacja, która obowiązuje i na zasadzie, której głosują u nas podczas wyborów jest a n a c h r o n i c z n ą. Była ona obmyśloną dla innych czasów, dla innych poprostu ludzi. Jej dosłowna, czy naiwna demokratyczność, zakładała, mówiąc szkolnym stylem, że całkiem inne sprawy będą się rozgrywały podczas wyborów, a sejm całkiem inną przybierze postawę, że inną przeżywać będziemy epokę. Była ona w gruncie rzeczy pomyślana, dla takiej konfiguracji: liczna prawica, liczne centrum (ludowcy) i 3 wielkie kluby lewicowe (radykali chłopscy, radykali miejscy i mniejszości narodowe, także lewicowe). Po eliminacji tych ostatnich, dwa lub w ważniejszych okolicznościach, trzy kluby parlamentarne, miały wytworzyć rząd parlamentarnej większości Ktoś, kto bawił się tymi nadziejami, był w swej politycznej funkcji, czystym marzycielem, któremu zbywało jednak na wyobraźni, by odpowiedzieć na pytanie, co będzie, jeśli większa ilość klubów pozostanie więc w naszych ciałach parlamentarnych? rządy urzędnicze? Lecz gdzie ten paragraf w konstytucji? Ach, jest taka możliwość. No to możemy głosować. Był taki paragraf w Konstytucj weimarskiej i Hindenburg rządził 4 lata, przy jego pomocy. Z jakim skutkiem — wiadomo. Niema takiego paragrafu w konstytucji francuskiej i Doumergue poszedł mimo, że mógł go jakimś chwytem wydrzeć obecnemu parlamentowi.

Jakąkolwiek będzie nowa konstytucja, polska napewno nie będzie liczyć się z koniecznością rządu parlamentarnedo. Wręcz przeciwnie, pomyślona cała będzie, jak te paragrafy, które w razie czego, mają pomagać rządowi, bez większości parlamentarnej

Do takiej konstytucji, potrzeba specjalnego parlamentu. Czy mamy wszczynać dyskusję, o nonsensie korporacyjnym? W dzień, w którym zamkniętoby naród współczesny w ghettach korporacji, patrjoci poczęliby wołać, wpierw wolność, a potem korporacje. Rzecz w tem, że parlament ograniczony, nieliczny, z pośrednich wyszły wyborów, może być wielką, niezbędną i jednomyślnie szanowaną siłą, w naszem życiu pnństwowem. Być może, że będzie inny, a więc jakoś inaczej złożony. Nie może być jednak karykaturą swojej nazwy, swego przeznaczenia, swego źródła. Inaczej lepiej, by go całkiem niebyło. Hitler nazywa parlament, a u d y t o r j u m, powoływanem po to, by przed niem mógł Führer od czasu do czasu, szczególniej ważną mowę wypowiedzieć. Wiadomo, że to coś przejściowego i w gruncie rzeczy niepoważnego. Nikomu takiego parlamentu nie potrzeba. Potrzeba natomiast zwartego, zdecydowanego w swej opinji ciała parlamentarnego, o ograniczonych choćby w zakresie działania, lecz jasno określonych kompetencjach. Historja dopiero oceni, jak wielką doniosłość posiada okoliczność, że u nas w Polsce droga do stworzenia takiego ciała stoi jeszcze otworem. Ciało to potrzebne jest, by po latach znojnej, a systematycznej pracy, módz dzisiaj i jutro i pojutrze, reprezentować opinję twórczych sfer narodu, które dorastają i dojrzewają.

Z. W. BIELECKI

ALBERTYN

REPORTAŻ Z TERENÓW MISYJNYCH KOMISJI „PRO RUSSIA“

Droga

Na dworze trzaskający mróz. Wagon trzeciej klasy międzynarodowego pociągu Paryż — Moskwa. Przedemną kilka numerów prawosławnego „Słowa„ warszawskiego i „Słowa“ wileńskiego, broszurka niedawno zmarłego Jezuity, o. Piątkiewicza p. t. „Prawda o Albertynie“. Wpatrzony to w broszurkę, to w migający przed oczyma krajobraz, to znów w fizjognomje, całkiem przeciętne, współtowarzyszy podróży myślę...

Przed oczyma staje mi, jak żowy, obraz autora broszury, trzymanej w ręku, tak, jak go kilka lat temu widziałem w Warszawie: Sędziwy starzec z długą, siwą brodą, o spojrzeniu jasnem, jednakże bardzo głębokiem, Ubrany w długą jezuicką sutannę ze złotym krzyżem na piersiach.

Pociąc zwalnia biegu i ciężko sapiąc zajeżdza przed jakiś budynek stacyjny, Monotonny głos konduktora oznajmia Białystok.

Do przedziału wchodzi kilka osób. Dokoła nas zaczyna rozlegać się coraz częściej język rosyjski, od czasu do czasu przeplatany polskiemi czy białoruskiemi słowami. Obok siada jakiś prawosławny duchowny, pierwszy jakiego spotykamy w naszej podróży, Bo i rzeczywiście za Białymstokiem, jadąc czy to w stronę Baranowicz, czy to w stronę Wilna, coraz więcej spotyka się prawosławnych, nierzadko całe wsie są wyłącznie ortodoksyjne. Prawosławie, też nadaje tamtejszym terenom swoisty charakter językowy, a i nietylko językowy, tak różny od charakteru wsi polskiej, w Wielkopolsce, czy też w Kongresówce.

Pociąg ujechał już dość daleko za Białystok, a ja jeszcze zastanawiałem się, nad charakterem tutejszych, rdzennie polskich okolic. Nie trwało to jednak długo. Siedząca koło mnie postać bardzo mię intrygowała i chciałem jakoś nawiązać przygodną znajomość i, jak się powiada „dla zabicia czasu“ (właściwie trochę bardziej interesownie) porozmawiać z jadącym obok „batiuszką“. Okazja jakoś się nastręczyła, w czem niemałą usługę oddało mi prawosławne „Słowo“, gdyż jadący batiuszka, także widocznie odczuwał potrzebę rozerwania się, a po gazecie sądził, że jedzie ktoś ze swoich. W najczystszej rosyjszczyźnie zaczynamy konwenansową rozmowę o wszystkiem i o niczem, potem stopniowo dopiero zaczynamy rozmowę na tematy bardziej konkretne, dotyczące prawosławia, jego wewnętrznego życia, jego trosk. Rozmawiamy przeto, o zbliżającym się soborze lokalnym Kościoła prawosławnego w Polsce, o rewindykacji, wreszcie przechodzimy na temat największej z trosk polskiego prawosławia, a mianowicie, na temat działalności unijnej Komisji „Pro Russia“ na terenach wschodnich kresów Rzeczypospolitej. Dowiaduję się, że na wymienionych terenach, prowadzi się szaloną propagandę unijną, że całe wsie pod jej wpływem przechodzą na Unję, szczególnie na Wołyniu. (Rzeczywiście, przeszło 50 wsi zgłosiło się ostatnio do Kurji Biskupiej w Łucku, z prośbą, o przysłanie im unickiego kapłana. Każde podanie jest zaopatrzone w kilkadziesiąt czasem kilkaset podpisów tamtejszych mieszkańców. Pozatem znajduje się około 30 placówek już zorganizowanych, albo w studjum organizacji).

— Prawda — powiada — dzisiaj „oni nam nie straszny“. Księży mają mało, trochę i u nich daje się odczuwać kryzys, są silnie zwalczani przez władze administracyjne, lecz za lat kilka, gdy seminarjum w Dubnie, zacznie wypuszczać w świat swych wychowanków, zacznie się na dobre walka, o być, albo niebyć prawosławia w Polsce. Walka nierówna, gdyż ogół naszego duchowieństwa, słabo naogół wyrobiony, nie potrafi odeprzeć ich, zarzutów, oprzeć się ich „jezuickim“ sztuczkom. Mają oni — ciągnie dalej mój współrozmówca — i to za sobą, że grają w tej cliwili na nacjonalnych strunach naszego włościaństwa, a ruch narodowościowy, cechę dzisiejszych powojennych czasów, potrafią świetnie dla swoich celów wyzyskać, czego — dodaje z żalem — nasi władycy nam wyzyskać nie dają i do wymogów chwili i postulatów ludności, zastosować się nie chcą. Oni to — dodaje — pierwsi wprowadzili na Wileńszczyźnie do cerkwi, język białoruski.

— A czy studjum w Warszawie — zapytuję — nie mogłoby jakoś temu przeciwstawić się?

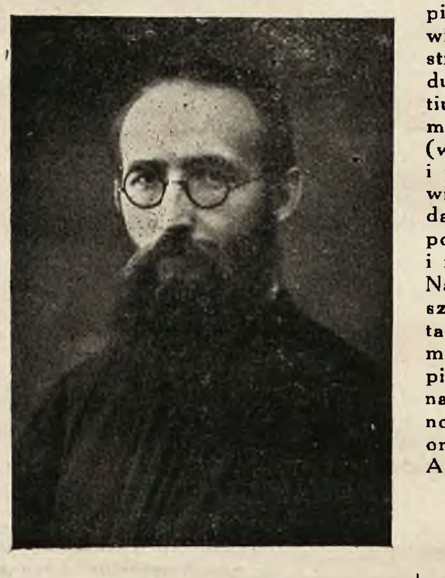
Następuje dość ciężka chwila milczenia, a po niej odpowiedź, która naprawdę byłem nieco zaskoczony.

— Łuczsze i nie gawarit'. — Cóż z tego — powiada, że starsze pokolenie księży posyłają „w zasztat“ (na emeryturę), a na ich miejsce przysyłają właśnie owych warszawskich akademików? Cóż z tego? W Warszawie pod nadzorem państwa wychowują ich całkiem *po świecku*, a tu trzeba na czasy dzisiejsze ludzi pełnych zaparcia i poświęcenia, *pełnych ducha bożego, a nie bezrobotnych*, którzy „ot, nieczewo diełat'“ poświęcają się stanowi duchownemu. Ludzie ci naogół, przy dzisiejszym kryzysie, idą na lep stypendjów państwowych, a nie z głębokiego, bożego powołania; z tych — konkluduje mój batiuszka — Cerkiew pociechy mieć nie będzie!

Na takie dictum nie wiedziałem już, co dalej mówić i jak kontynuować rwącą się rozmowę. Ryzykuję jednak i zapytuję go, jakie lekarstwo uważa on za, najbardziej odpowiednie, dla uzdrowienia dzisiejszych stosunków.

Otrzymuję odpowiedź szczerą, krótką:

— Dziś Rosji niema, Prawosławie, przez upadek caratu straciło grunt pod nogami i mimo wszelkie „opieki i protektoraty“ nie będzie w stanie stanąć na wysokości zadania, Sobór?... — tu wymowny gest ręką — to wszystko czcze słowa! Wielu z mych współbraci kapłanów, jedyny ratunek w takich warunkach widzi w Unji. Bo, powiedziawszy prawdę, różnic to i żadnych niema, szczególnie rzecz biorąc praktycznie. Co innego, że te różnice praktyczne istniałyby dla wyższej hierarchji cerkiewnej, bo nastąpiłoby wtedy ograniczenie jej władzy, która dzisiaj



O. Antoni Dąbrowski Protoihumen Misji Wchodniej O. O. Jezuitów Rektor Pap. Sem. Wschodniego w Dubnie

jest niczem nieskrępowana, ale dla nas... wsio rawno! Cóż pozatem może być istotnem? Całe „razjedinienije“, jest dziełem obustronnej pychy i niezrozumienia. Dużo błędów od tamtych czasów popełnili i katolicy i prawosławni, lecz mimo wszystko, katolicyzm przez te dziewięć z górą wieków, nabrał niebywałej siły i hartu, podczas gdy prawosławie, coraz bardziej słabło. Mówiąc to, mam na myśli, urzędowe prawosławie rosyjskie z oberprokurorami „wo gławie“. —

Kraj

Pociąg zatrzymuje się na jakiejś stacji i jestem zmuszony pożegnać się z mym współrozmówcą, który właśnie tutaj wysiada. Żegnam go naprawdę z żalem i z szacunkiem.

I znów migają przed oknami jednostajne białoruskie krajobrazy, Mijamy Zelwę. Przed samą stacją miga sylwetka jakiejś świątyni. Siedzący naprzeciwko mnie podróżny, zauważywszy widocznie, że jestem w tych stronach po raz pierwszy, informuje, że to dawna świątynia unicka, że od czasu do czasu, przyjeżdza tutaj „unjacki batiuszka“ i odprawia „służbę“; ludzi podobno przychodzi dużo, niektórzy starzy z rozrzewnieniem wspominają te czasy, kiedy to im opowiadano o Unji, jako o czemś, co wyrwano z serc, z dusz, a oni dzisiaj mają szczęście, na własne oczy, być na unickiem nabożeństwie. Podobno w mieście nawet były jakieś „unjackie mniszki“, ale zdaje się, że ze względu na dość duże oddalenie najbliższej unickiej cerkwi, przeniosły się gdzie indziej. Opowiada mi dalej, o dawnym prawosławnym proboszczy Zelwy, o. Protasiewiczu, „Białorusinie z krwi, Rosjaninie z ducha“, jak to on, wziąwszy rozwód ze swą żoną, wstąpił do klasztoru, gdzie pod imieniem Fieofana, jest obecnie archymandrytą (godność odpowiadająca godności opata w Kościele Zachodnim). Podobno aspiracje o. archymandryty sięgają jeszcze dalej i ma nadzieję nawet, zostać biskupem, tylko narazie niema jeszcze dla niego wakansu.

Naprawdę trudno to wszystko zrozumieć!

Lecz wreszcie zbliża się cel naszej podróży — Słonim, a pięć km. dalej piechotą — Albertyn, Ten Albertyn, który niejednemu tyle krwi napsuł, tyle atramentu i czernidła drukarskiego przelał.

Tutejsi — a nie „tutejsi“ jednak

Napotkaną po drodze kobietę, zapytuję o drogę.

— A to panoczek napewno do tych tam unjatów? — słyszę dość retoryczne pytanie, a w głosie czuć było wyraźnie niechęć do unickich misjonarzy.

Świetnie się składa — myślę sobie. — Trzeba będzie i tę kobiecinę pociągnąć za język, a napewno coś bardziej ciekawego się dowiem. Ona także na moje szczęście podąża do Albertyna, więc zaczynam rozmowę. Spoczątku idzie jak po grudzie. Nieufna Białorusinka mówi mało, na pytąnia odpowiada wymijająco. Jak tu z taką gadać?...

Wreszcie jakoś prysnęły pierwsze lody. Nadstawiam przeto ucha i słucham, by ni słowa nie uronić z tej obiecującej rozmowy.

— Dyk to panoczku nia wiedajesz, szto to i jość, Ni to ksiondz, ni to pop, a kali ci zacznie kazannie hawarić, to się już i całkiem nie rozbierzesz. Powiada, co on katolik, choć w ryzach i z brodą, nieczem nie gorszy ad taho z polskaj kaplicy, co trza przyznać papieża, jak kaliś Christos pawiedział, kab usi byli jedno. Co powinna nastąpić zjednannia usich chrześcijan pod wierchouną władzą papieża — Namiestnika Chrysta. Posłuszajesz, dyk podumajesz, co i racju maje. A nasz batiuszka, ten z Szydłowic, to każe, kab my do nich nie chadzili, bo ani wouki (wilki) w owieczaj szkurie. Bo to i prawda panoczku, ani jezuity, a to wiadomo, czy jezuita rozbierzesz?. Prawda, że ludzi to i bardzo nie tumanią, powiadają, że oni katoliki, dzieci to i nabożności uczą, biednym pomagają. Naszych to by ta i szmat do nich paszło, ale to i nie wiedajesz, szto hetaje i jość, W hazetach to o nich niemażliwości piszuć, a pany tolki podpisy zbierajuć, co to niby szkodniki narodowej sprawy. Taki prawda panoczku, dyk to jezuity. Pany mądre to oni i wiedzą, co tam pod tym i jość... A wot ciabie i ichnij klasztar...

W Albertynie

Idę obejrzeć Albertyn i jego słynny już dzisiaj klasztor,

Zbliska traci on może nieco na swej piękności, gdyż już nie odbija się tak ładnie na tle otaczającego go sosnowego lasku; budowa prosta, prawie bez stylu. Olbrzymi bizantyjski, trójramienny krzyż wskazuje nam wejście do kaplicy, urządzonej w rogu klasztoru. Niedaleko widać maleńką, ale miłą kapliczkę łacińską, obsługiwaną przez jednego z jezuitów łacińskiego obrządku.

W samym prawie sercu wsi napotykam cmentarz. Ogrodzony skromnym drewnianym płotem, potężny w uroku i poszumie pochylonych od ciężaru lodu drzew, wygląda bardzo mile i pociągająco. Nie odczuwa się tutaj *tej sztuczności*, której tyle spotykamy na wielkomiejskich cmentarzach. Całą istotą człowiek rozumie, że tu musi być miejsce *wiecznego* spoczynku. Wchodzę za ogrodzenie, chociaż śnieg porządnie wszystko przyprószył. Cmentarz, jak wszędzie na kresach, należy nie do jednego wyznania, a do gminy, i mogą na nim być chowani wszyscy bez wyjątku chrześcijanie, Dlatego też spotykam nagrobki w najróżnorodniejszych językach, Polskie, rosyjskie, białoruskie, nawet niemieckie... Na jednym z grobów znajduję napis w języku starosłowiańskim: Zdie pokoitsia o Bozie otiec Władimir Piontkiewicz, protoihumien Albiertinskoj Obitieli... to grób pierwszego Superjora i Założyciela Misji, o. Piątkiewicza.



Klasztor OO. jezuitów w Albertynie — wejście do cerkwi i kaplica łacińska (z lewej strony.)

Zapada mrok... Jestem gruntownie przemarznięty i chciałbym się choć trochę gdzieś ogrzać, Kieruję przeto swe kroki, do pierwszej lepszej z brzegu chaty, gdzie przyjmują mnie bardzo gościnnie. Trafiam jak raz dobrze. Gospodarze są unitami, pierwszymi, których w naszej wędrówce po Albertynie spotykamy. Opowiadają mi dużo o ojcach, ile oni muszą cierpieć, jak im „panowie“ dokuczają ku radości komunistów, żydów i „sektantów“, Dowiąduję się dalej, że w Albertynie istnieje białoruska ochronka, prowadzona przez wschodnie siostry. Dzieci mają tam staranną opiekę, uczą się wierszyków, śpiewów. Starsze mają krucjatę eucharystyczną, założoną przez o. Filipa (de Regis, Francuza, jezuitę wsch. wsch. słów. obrządku obecnie rektora Collegjum Russicum w Rzymie), który w skutek najrozmaitszych intryg zmuszony był po pięcioletnim pobycie z Albertyna wyjechać. Z czcią wielką i nabożeństwem wprost wspominają „świątobliwego batiuszkę“ — o. Piątkiewicza, który był duchem opiekuńczym wszystkich. Księża wszyscy są byłymi łacinnikami i tutaj w Albertynie, przyjmowali wschodni obrządek; kazania mówią po białorusku i po rosyjsku, aczkolwiek ludzie niektórzy woleliby s ł y s z e ć w cerkwi język rosyjski wyłącznie, bo ta białoruszczyzna — kto wie — czy to nie krok naprzód do stopniowej polonizacji, a tego strasznie się obawiają. Wspominają o o. Wysokińskim, jak to on jeździł swą kasztanką, gdy był jeszcze proboszczem w niedalekich Synkowiczach. Z dumą mówią, że fotografja tego Ojca, zdjętego w momencie jechania swą furmanką, znajduje się na biurku u Ojca Świętego w Rzymie. Z żalem wielkim i ze zgorszeniem wspominają o tem, że „panowie“ chcieli odebrać unitom w Synkowiczach cerkiew i nawet jeździli i podpisy na to zbierali. Wogóle o „panach“ to wyrażają się oni nie nadzwyczaj pochlebnie.

Z krótkiej rozmowy świetnie zrozumiałem, że ludzieci rozumieją do skonale, że są katolikami i cierpią, gdy im katolicy, chociaż innej narodowości i innego obrządku wyrządzają krzywdy. Cierpią z tego powodu, że sądzili, iż w katolicyźmie nie powinno być takich tarć. Niestety „agrarny katocylizm“ okolicznych „panów“ strasznie ich rozczarował.

Na dworze już całkiem się ściemniło, Serdecznie dziękując gospodarzom za gościnę opuszczam progi ich domostwa. Wychodzę, Wiatr wieje mi śniegiem w oczy... Na uliczce nie widać żywego ducha...

Do wieczornego pociągu pozostaje nam jeszcze sporo czasu. Idziemy przeto w stronę klasztoru, by tam jeszcze móc choć chwilę porozmawiać z „brodatymi jezuitami“.

W klasztornej cerkwi

W klasztornej cerkiewce widać światło. Widocznie jest jakieś wschodnie święto. Zachodzę przeto do cerkwi, by wreszcie zobaczyć i owe wschodnie nabożeństwo.

Zdaleka śpiew...

Wchodzę...

W o ń cerkiewnego kadzidła. Na środku cerkwi kapłan ubrany w szaty, krojem swym przypominające trochę stare żydowskie stroje liturgiczne, z których prawdopodobnie biorą swój początek, trochę znowu greckie ubiory cerkiewne. Kapłan śpiewa jakąś długą litanję, a chór co pewien czas długo, przeciągle odpowiada: Hospodi pomiłuj.

Wrażenie przeolbrzymie... Półmrok zalegający boki cerkiewki czyni twarze d z i w n i e ascetycznemi, przeciągły, przygłuszony trochę głos kapłana, ciche melancholijne odpowiedzi chóru wszystko to robi wrażenie jakgdyby nabożeństwa katakumbowego... Na wszystkich twarzach widać głębokie skupienie, a równocześnie z tem jakąś dziwną swobodę, którą można spotkać prawie wyłącznie na Wschodzie. Język człowieka zachodniego nie potrafi tego wszystkiego oddać i wypowiedzieć, a jego dusza nie jest w stanie tego zrozumieć,

Kapłan odśpiewał już swą litanję i poważnym krokiem zbliża się do przygotowanych na stoliku chlebów zwykłych chlebów.

I znów staje nam przed oczyma obraz katakumb... Jak żywo widzimy owe stare-chrześcijańskie uczty miłości — agapy, bo właściwie obrzęd ten jest nie czego innego pamiątka.

Po chwili rozlega się znowu takim samym głosem śpiewana przez chór pieśń Symeona: Teraz odpuść, Panie, sługę Twego w pokoju. A potem uderza radosne: Ave Maria.

Trudno byłoby wszystko opisać, com przeżywał podczas tego nabożeństwa!... Co chwila inny obraz, co chwila inne wrażenie, co chwila inna melodja, co chwila inny wyraz twarzy u modlących się...

Rozpoczyna się uroczysta Jutrznia...

Trudno zapamiętać wszystko, a tembardziej trudno opisać. Wychodzę z cerkwi pod całkiem innem wrażeniem, Rozumiemy teraz świetnie, dlaczego ci ludzie tak kochają swój obrządek, dlaczego tak są do niego przywiązani i ciężko jest im roztać się z nim. Rozumiemy też, dlaczego tak konieczną jest wśród prawosławnych **praca w obrządku wschodnim**, a dlaczego praca w obrządku łacińskim raczej zbyteczną, nie wydaje poważniejszych owoców. Naprawdę trudno jest zapomnieć o tych tak obrazowych nabożeństwach odpowiadających duszy każdego, poczynając od najbardziej inteligentnego człowieka, na prostym kończąc... „mużyku“ Każdy tam odnajdzie cząstkę siebie, każdy jest tam do czegoś potrzebny, choćby nawet chciał nie może ograniczyć się do prostej roli widza, musi tam brać udział czynny. W Liturgji — powiedział ktoś — jest cała masa wozgłasów, (głośne zakończenie cichej modlitwy przez kapłana), z których każdy ma swój, dlatego każdy czuje się współofiarnikiem w sposób nie sztucznie wyćwiczony, co bardzo często zdarza się na Zachodzie, ale w najbardziej naturalny.

U „Brodatych“ Jezuitów

Idziemy teraz do klasztoru, by zasięgnąć trochę informacji dotyczących Misji od samych Ojców.

W korytarzu znowu trójramienny krzyż, Po prawej stronie od wejścia małe okienko z napisem w języku polskim i białoruskim o godzinach przyjęć. Mimo, że godzina już dość późna, dzwonię. W okienku pojawia się jakaś postać i po polsku zapytuje nas, czego sobie życzę. Odpowiadam, że chciałbym widzieć się z którymś z księży, by zasięgnąć od niego nieco informacji o Misji, wschodnich Jezuitach, akcji unijnej i t. d.

— W tej chwili zawiadomię Ojca Ihumena — brzmi krótka odpowiedź.

Po chwili wychodzi z za klauzury jakiś ksiądz z małą czarną bródką, na pierwszy wygląd dość młody. Ubrany jak każdy jezuita łaciński, na piersiach tylko błyszczy złoty krzyż.

Przedstawiam się, prosząc o chwilę rozmowy.

— Bardzo chętnie panu służę — brzmi odpowiedź i zachęcającym gestem zaprasza mnie do rozmównicy. Jest to niewielki pokój, skromnie urządzony. W rogu wschodnim zwyczajem, wisi jakaś bizantyjska ikona, na ścianie fotografje Metropolity Wileńskiego X. Jałbrzykowskiego, oraz — jak nas informuje nasz współrozmówca — Wizytatora Apostolskiego „Władyki“ Czarneckiego.

Zaczynam rozmowę. Mówię o celu mojego przyjazdu do Albertyna, stawiam najrozmaitsze pytania co do genezy misji, jej celów, rozwoju i t. d.

— Początek Jezuitów wschodnich — zaczyna Ojciec — sięga jeszcze roku 1924, kiedy to na prośbę J. E. X. Biskupa Przeździeckiego, Ordynarjusza Djecezji Podlaskiej kilku Jezuitów łacińskiego obrządku, za zgodą naszego O. Generała, przyjęło wschodni obrządek. Początkowo Ojcowie nasi osiedlili się w Djecezji Podlaskiej, ponieważ jednakże warunki tamtejsze im nie odpowiadały, przeto, skorzystawszy z łaskawego zaproszenia hrabiego Pusłowskiego, który ofiarował im dla celów unijnych dom i dość duży ogród, już w październiku 1924 roku przenieśli się do Albertyna, Przyjechawszy na nowe pole działania musieliśmy się zainstalować w nowym domu, nieodpowiednim zresztą dla celów zakonnych, Początkowo było 2 Ojców, stopniowo jednakże liczba ta wzrastała i wzrasta. Już w roku 1926 zakładamy w Albertynie nowicjat zakonny z pięcioma nowicjuszami — scholastykami. Dzisiaj już, Bogu dzięki, mamy w nowicjacie 10 scholastyków, na wyższych studjach w kraju i zagranicą 27. Ojców mamy 13, z tej liczby w Albertynie 5.., 1 w 1 w Wilnie i 6 w Dubnie, gdzie powierzono nam prowadzenie Papieskiego Seminarjum Wschodniego. Celem naszym nie jest, proszę pana, praca parafjalna, chociaż w tej chwili z powodu braku księży świeckich musimy pracować i na parafjach, Zasadnicze nasze cele w zupełności

Dokończenie na str. 5

A. M. BOCHEŃSKI

CELOWOŚĆ BEREZY

Każdy problem rozpatrywać można z rozmaitych punktów widzenia. Jeśli myślimy albo mówimy o Berezie Kartuskiej, to narzucają się aspekty: moralny, prawny i polityczny. Pierwsze dwa są bardzo dla nas ważne, najważniejsze, nie tylko dla własnej wagi, ale i przez wpływ, jaki wywierają na aspekt trzeci, polityczny. Zdaje się, że między naszymi czytelnikami nie ma wątpliwości co do tego, jak problem Berezy wygląda z dwu pierwszych punktów widzenia. Mimo to rozpatrzylibyśmy go chętnie, gdyby nie vis maior. Nie możemy pisać wszystkiego. Ograniczamy się do trzeciego, politycznego aspektu tej bolesnej sprawy, podkreślając raz jeszcze, iż to tylko może być w interesie Racji Stanu Państwa, co zgodne jest z aspektem moralnym i prawnym zagadnienia. Tu jednak przejdziemy cele doraźne, dla których Obóz został założony, traktując je możliwie bardzo objektywnie i spokojnie. Celami tymi są niewątpliwie: 1) Walka z niebezpieczeństwem terroru i rewolucji ze strony młodej endecji. 2) Walka z objawami dzikiego antysemityzmu ze strony młodej endecji. 3) Walka z separatyzmem i terrorem ukraińskim. 4) Walka z komunizmem.

Przejdźmy po koleji te cele, i zastanówmy się w jakiej mierze Bereza przyczynia się do ich spełniania' w jakiej zaś dać może rezultaty wręcz odwrotne do zamierzonych.

I. WALKA Z NIEBEZPIECZEŃSTWEM TERRORU.

O ile chodzi o sprawę mordu politycznego i jego związku z tym czy innym sposobem sprawowania rządów w państwie, musimy rozróżnić dwa zasadnicze pytania. pytanie kiedy mord polityczny może nastąpić i pytanie, kiedy musi nastąpić?

Kiedy mordy polityczne i inne objawy terroru mogą nastąpić? Teoretycznie — zawsze. Każdy, kto ma jakie takie pojęcie o historji, wie, iż wypadki mordów następowały w okresach rządów absolutystycznych. Iluż to właściwie imperatorów rosyjskich skończyło naturalną śmiercią? Jednocześnie jednak i ustroje wolnościowe, parlamentarne nawet widziały częste objawy terroru politycznego. Nietylko Fieschi montował piekielną maszynę na Ludwika Filipa, ale anarchista Vaillant nie wahał się za trzeciej republiki rzucić bombę w pełną salę parlamentu. Nie można twierdzić, aby ustrój konstytucyjny chronił od zamachów. Biedny Sadi Carnot doświadczył tego na sobie. Ilość zamachów jest również niezależna od sytuacji ekonomicznej, w której się dane państwo znajduje. Czyż można wyobrazić sobie większy rozkwit ekonomiczny jak ten w którym znajdowała się Rosja w epoce bezpośrednio przed zamordowaniem Stołypina, a jednak zamordowano tego wybitnego polityka, podobnie jak znów w Polsce takiego min. Lindego spowodu kryzysu.Podobnie i charakter osób, na które wykonuje się zamachy w niczem prawie nie wpływa na ich możliwość. Ofiarą ich padł jednocześnie taki człowiek jak Gabrjel Narutowicz i taki jak Bronisław Pieracki, typy psychiczne chyba najskrajniej do siebie niepodobne. Wśród zamordowanych osób politycznych można znaleść całą gamę charakterów.

Na pytanie więc, kiedy mord polityczny może być dokonany, odpowiedź musi być kategoryczna. Mord polityczny może być dokonany zawsze. We wszystkich możliwych warunkach politycznych. Oczywiście nie mówimy tu o stopniu prawdopodobieństwa, lecz o zwykłej oderwanej możliwości. Teraz jednak nasuwa się drugie pytanie znacznie ciekawsze. *Kiedy objawy terroru politycznego MUSZĄ wystąpić,* tu zbliżamy się do sedna naszego zagadnienia.

Twierdzę, i zgóry wzywam każdego kto się na to nie zgadza by udowodnił przeciwnie — iż zmiany polityczne nie mogą się odbywać na drodze gwałtownych wstrząsów i przewrotów. Wypływa to stąd, iż elita znajdująca się u władzy, z czasem ulega coraz wydatniejszemu osłabieniu i nasiąka elementami oportunistycznemi, gdy odwrotnie, opozycja pod względem materjału ludzkiego ciągle wzrasta na sile. Po pewnym czasie ta zmieniona proporcja siły opozycji i grupy rządzącej przejawia się w zmianie u steru rządu. Jeżeli ta zmiana nie może nastąpić legalnie — następuje ona w drodze wstrząsu.

Otóż tu wyłaniają się dwie ewentualności. Albo w chwili, gdy opozycja dojrzeje do sięgania po władzę drogą nielegalną, grupa rządząca jest zupełnie zmurszała i wtedy zmiana następuje na drodze zamachu stanu, bez aktów terroru politycznego. Nikomu np. na myśl by nie przyszedł zamach na nieszczęśliwego cesarza Karola austryjackiego. Jeżeli jednak w chwili wewnętrznego wzmocnienia opozycji rząd nie jest jeszcze dojrzały do upadku — NASTĘPUJĄ AKTY TERRORU. Tę grę możliwości obserwować najłatwiej na sposobach obalenia cesarzy rzymskich. Zasadniczym faktem przy upadku cesarzy rzymskich były skrytobójstwa w stosunku do silnych, zamachy stanu w stosunku do słabych. Możemy twierdzić iż długotrwały brak możliwości zmiany na drodze legalnej, prowadzi do skrytobójstwa politycznego. Fenomen ten występuje oczywiście o wiele słabiej w monarchjach jak w dyktaturach. Pochodzi to stąd, iż dziedziczny monarcha stoi o wiele bardziej ponad partjami jak dyktator i w monarchji istnieje zawsze o wiele większa nadzieja na zmianę na drodze legalnej, bądź to przez niełaskę rządu, bądź to przez następstwo tronu. Niemniej w Bizancjum i w Turcji, podobnie jak i w Rosji XVIII wieku było ono na porządku dziennym. W nieco dłużej trwających dyktaturach terror jest rzeczą najzupełniej pewną. Jest on kwestją czasu.

Ha! Damna tamen celeres reparant caelestia lunae! I starzejemy się, choć jeszcze dobrych kilkaset tych „Szybkich księżyców" pozostało do trzydziestki to trzeba nawracać do dawniejszych artykułów. W lipcu 1933, w artykule kończącym się grzmiącem „ceterum censeo B. B. W. R. delendum esse", pisałem: Jeśli nie powstaną możności zmiany personelu rządzącego drogą legalną i w związku z opinją publiczną — za kilka lat będziemy mieli terror polityczny w kraju. Jedynym sposobem zaradzenia zbliżającemu się złu jest podział B. B. na prawicę i lewicę i kolejne ich dochodzenie do władzy. Ceterum censeo. i t. d. W sam raz rok później Bronisław Pieracki padł od kul zabojcy. Nie było to spełnienie moich przypuszczeń — do tego opozycja antyregimowa w Polsce jeszcze dziś nie dojrzała. Było to jedynie ostrzeżenie, że skrytobójstwo polityczne jest rzeczą zupełnie możliwą i że jest straszliwą bronią. W lipcu 1934 nikt rozumny nie uwierzył w twierdzenie, iż Pierackiego zamordowali endecy.

W pierwszych dniach panowania Aleksandra III odbywała się dramatyczna walka między Loris-Mielowem a Pobiedonoscewem. Loris widział trafnie przyszłość Rosji. Rozumiał że jedynym sposobem usunięcia stałego widma mordu jest umożliwienie legalnego odwoływania się do opinji publicznej. Terror — nieuchronny acz nierychły, skutek dyktatury — leczyć pragnął jej powolnem usunięciem. Pobiedonoscew chciał zwalczać zło, przez zaostrzenie jego przyczyny. Nagminność mordu politycznego w Rosji była rezultatem bezwzględnego absolutyzmu i niemożliwości innej akcji opozycyjnej. Pobiedonoscew pragnął leczyć tę jątrzącą się ranę drogą dalszego zaostrzenia absolutyzmu. Przyszłość pokazała, że rację miał Lorsi Melikow. Za głupotę biurokracji odpokutował w Jekaterynosławiu — Mikołaj II.

II. WALKA Z ANTYSEMITYZMEM.

Wielu kulturalnych ludzi w Polsce odniosło się do Berezy dość przychylnie, rozumiejąc, iż jest ona niejako karą za barbarzyńskie pogromy urządzane przez O.N.R w lipcu b. r. w okolicach Warszawy. Tego rodzaju sposób rozumowania nie należy do naszych wywodów. Mamy kodeks. karny, mamy komentarz doń pióra tak powołanego uczonego jak prof. Makarewicza, sprawę odpłaty na przewiny z dziedziny rabunku i gwałtu możemy więc całkiem śmiało pozostawić naszemu sądownictwu karnemu. Judykatura polska nietylko nie idzie w kierunku złagodzenia przepisów ustawy, ale raczej w kierunku zaostrzenia. Przykładem częste stosowanie kary śmierci mimo jej praktycznego usunięcia przez nasz kodeks.. Pozostawmy więc tę sprawę prokuratorom. Interesuje nas tylko polityczna strona problemu. Pytamy się, czy Bereza osłabi czy wzmocni raczej kierunek antysemityzmu w Polsce?

Każdy inteligentny czytelnik, napewno rozumie,że zagadnienia antysemityzmu, nie rozwiąże się środkami policyjnemi. Nadzieje na zmniejszenie tej fali nienawiści, która w tej chwili zalewa Rzeczpospolitą, upatrywać można jedynie w przeciwstawieniu zdecydowanej i silnej argumentacji obozowi antysemickiemu i w zwycięstwie nad nią, w drodze swobodnej dyskusji. Jak dotąd bowiem zagadnienie żydowskie, rozpatrywane jest w sposób czysto jednostronny: wyłącznie ze strony atakującej. Przeciwstawia się zaś, jej jedynie takie bzdurstwa jak artykuły socjalistycznego „Nowego Pisma", które cytujemy na innem miejscu. Otóż argumentacji antysemickiej można przeciwstawiać się dwojako. Albo z punktu widzenia kryterjów politycznych i ekonomicznych, wykazywać nonsensa tej teorji, albo też odwoływać się do uczuć sprawiedliwości, tlejących bądź co bądź w każdym człowieku i mówiących mu, że rzeczy takie jak te, które stosowały wobec Żydów, Niemcy hitlerowskie, to rzeczy wstrętne i nieludzkie. Pozostawimy na boku argumentację polityczną, która nie ma nic wspólnego z naszemi dzisiejszemi wywodami. Zajmijmy się jedynie argumentacją moralną.

Żydzi, którzy pochwalają zaprowadzenie obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej i to wszystko co się w nim dzieje, nie rozumieją, że tym sposobem podkopują możliwość zwalczania antysemizmu drogą argumentów zaczerpniętych z arsenału potężnych haseł ludzkości, moralności i poszanowania godności każdego człowieka. Hodie mihi, cras tibi. Straszliwą zaiste biorą na siebie odpowiedzialność ci, którzy przyczyniają się do zobojętnienia opinji polskiej na wprowadzanie u nas metod tak zbliżonych do sposobów postępowania naszego zachodniego sąsiada.

Jeżeli Bereza została stworzona istotnie w celu obrony ludności żydowskiej — zaznaczam zresztą, iż w to nie wierzę i premjer Kozłowski o tem w swem przemówieniu wogóle nie wspomniał — to nie sądzę, aby ludność żydowska miała na tej protekcji skorzystać. Obronę mienia i życia obywateli można całkiem śmiało pozostawić kompetencji sądownictwa karnego. Im zaś bardziej nadzwyczajne środki zastosować będzie dla rzekomej ochrony żydów, tem bardziej będą oni zdani na łaskę i niełaskę we wszystkich innych kwestjach. Rządy pomajowe nie są rządami sentymentu, ale rządami trzeźwego wyrachowania. Nie będą one nigdy czynić rzeczy, które będą się im wydawać sprzeczne z ich położeniem w opinji publicznej. O ile chodzi o porozumienie z żydami, jest pewna granica, za którą nasz rząd nigdy nie odważy się wyjść. Za każdego O. N. R. zamkniętego w Berezie, dziesiątki żydów odpadną przy numerus clausus, dziesiątki przy obsadzaniu posad państwowych (jeśli do tych ostatnich są wogóle dopuszczani).

St. Vinzenc opowiada często anagdotę o kozaku kaukaskim, który w czasie wojny z najwyższem zgorszeniem przypatrywał się pogromom dokonywanym przez swoich pobratymców w Kołomyji. „Zdzieś nie obyczaj — jewreiw rizaty" tłumaczył im. „Tu nie zwyczaju rżnąć żydów, więc tego nie należy robić", Kozak miał rację. Społeczeństwo polskie patrzy się na pogromy jeszcze dziś z najdalej idącem obrzydzeniem.

III. WALKA Z KOMUNIZMEM.

Komunistów zamknięto w Berezie jedynie w celu wiekszego poniżenia pozostałych aresztantów. Dzięki temu spopularyzowano ich — oględnie się wyrażając — „przykre" położenie w zakładach więziennych. To we większej chyba mierze przyczyni się do wzmocnienia komunizmu w Polsce, jak cała finansowana przez rząd propaganda „Legjonu Młodych".

ZY KARTUSKIEJ

IV. WALKA Z IREDENTĄ UKRAIŃSKĄ.

Podkreślaliśmy powyżej, iż mord polityczny, jest objawem, który możemy spotkać we wszystkich możliwych stosunkach. Zawsze bowiem znaleść się może szaleniec — taki jak chociażby Piekarski — który zamach w chwili najmniej spodziewanej dokona, Ale niewątpliwie są stosunki, jest aura polityczna, która bardziej istnieniu terroru sprzyja. Nie należy się łudzić. Żadne kary, żadne obozy koncentracyjne, nie będą w stanie wstrzymać fanatyka zdecydowanego, na dokonanie zamachu. Jedyna rzecz, która może takiego zamachowca wstrzymać, to interes polityczny swego narodu. Otóż tutaj zdaje się pewnem, iż szanse akcji terrorystycznej ze strony mniejszości, są odwrotnie proporcjonalne do jej narodowego stanu posiadania. Gdy w stanie posiadania narodowym, nie sposób wogóle nic utracić, gdy szkolnictwo, samorząd i organizacje gospodarcze danej mniejszości, są pospiesznie likwidowane, sytuacja z konieczności wprost prowadzi do akcji skrytobójczej. W takiej sytuacji byli np. Polacy przed terrorem 1905 roku. O ile natomiast dana mniejszość ma dużo do stracenia, o ile ma pewien wpływ na rządy w kraju, o ile posiada własne szkolnictwo wyższe i średnie — rozwój akcji terrorystycznej, jest o wiele trudniejszy. Nie groźby, więzienia, śmierć nawet, ale poczucie dobrze zrozumianego interesu swego narodu, powstrzymuje terrorystów. Od trzech lat nieprzerwanie twierdzimy, że droga do likwidacji U. O. W. znajduje się nie na szlaku pacyfikacji, Łucka i Berezy — ale w kierunku Lwowa' Stanisławowa i Tarnopola. Tylko przez wzmocnienie lojalnie do państwa usposobionych ugrupowań ukraińskich.

Słyszymy zazwyczaj, iż wszelkie ulgi dla mniejszości, powodują zwiększenie ich siły i z tego powodu są niebezpieczne dla państwa. Twierdzenie to polega na nieporozumieniu. O ile chodzi o siły fizyczne mniejszości, o jej możliwości walki z państwem, to takie rzeczy jak szkolnictwo, czy nawet sprawiedliwy udział w samorządzie, zwiększają ją jedynie bardzo nieznacznie. A przecież, na walkę mniejszości z państwem, składają się nietylko siły finansowe, czy wojskowe, ale po pierwsze i przedewszystkiem — siły moralne, siły nienawiści do państwa. I tu jest jeden z najdziwniejszych paradoksów polityki mniejszościowej. Jest to mianowicie fakt, iż ograniczanie mniejszości w swych prawach, pozbawianie jej możliwości kulturalnego bytowania, zmniejsza nieznacznie, czysto fizyczne jej siły, a zwiększa do nieskończoności, siłę nienawiści do państwa... Jaka siła fizyczna, potrzebna jest do stworzenia wielkiej akcji terrorystycznej? Kilkanaście rewolwerów i bomb własnej produkcji, trzymało w napięciu, całe olbrzymię imperjum rosyjskie. Siła wystarczy prawie żadna. To, czego jednak potrzeba do akcji terrorystycznej, to, co jest do niej niezbędnie potrzebne — to ogromna siła nienawiści.

I to właśnie tworzy Bereza Kartuska i dlatego uważamy ją za szkodliwą.

V. ZAKOŃCZENIE.

Zebraliśmy całą wiązankę argumentów. Przeszliśmy kolejno wszystkie „wyższe cele", które nakazują, by tworzyć w Polsce i utrzymywać obozy koncentracyjne. Czy jednak zdołają one, kogokolwiek przekonać, czy zdołają wpłynąć na bieg rzeczy? Można w to wątpić. Al. Herc, pisał kiedyś o residuum i derywacjach rozmaitych grup i jednostek psychicznych. Łatwo jest zdefinjować residua psychiczne ludzi, których derywacją był projekt Obozu, resi dua takie są dla tych i innych argumentów zamknięte.

jest Polska inna, która gorączkuje się, pracuje, szuka, myśli, czasem błądzi, ale zawsze trzyma wzrok otwarty i wlepiony w drogi przyszłości Rzeczypospolitej. Dla tych wszystkich kolegów moich, wiekiem i namiętnością i pracą tego szukania, wszystko jedno, czy to ci, którzy pracowali ze mną, nad ideologją Myśli Moc. czy zbierają się oni w lokalach, czy Odrodzenia, czy Młodzieży ludowej czy demokratycznej, czy narodowej, czy nawet Legjonu Młodych, dla nich piszę, i ich proszę, by cokolwiek się stało, nie cofali się nigdy, przed skalpelem logiki, by sekcjonować nim pokłady kwietyzmu i wzajemnej adoracji, pod któremi coraz trudniej dopatrzyć się racji stanu Polski współczesnej.

TRAGEDJA WSPÓŁCZESNYCH MŁODYCH

Poniżej zamieszczamy pełen młodzieńczego temperamentu artykuł jednego z aktywniejszych a bliskich nam działaczy akademickich, który stwierdza najlepiej, jak palącym staje się problem młodzieży w Polsce.

Coraz częstsze i gwałtowniejsze odzywają się w starszem społeczeństwie głosy, wołające o nawiązanie kontaktu z młodzieżą, — kontaktu od lat kilku nieistniejącego, zatraconego tendencyjnie przez tych właśnie panów, którzy teraz tak usilnie i natarczywie o owo porozumienie zabiegają.

Propozycję nawiązania łączności tak niedwuznacznie przez reprezentantów starszego pokolenia wyrażoną, nie należy traktować jako oferty szczerości wypływającej z konieczności przystosowania się do wytworzonych obecnie warunków życiowych, a przeciwnie, jako nowy manewr taktyczny, wystylizowany w najdrobniejszych szczegółach, skierowany ostrzem wyłącznie i tylko przeciw masom, z którymi oficjalnie do porozumienia się dąży.

Przyznać należy, że starszym panom nie brak konceptów, jednak nikogo już nie zaciekawi grzeczna bajeczka o złotym zamku na szklanej górze, nie wezmą na lep krokodyle łzy wylewane nad losem dzisiejszych ludzi, do filiżanki „czarnej" z koniakiem.

Chyba dziś więcej, niż kiedykolwiek zarysował się czarny zygzak przepaści między młodszymi a starszymi braćmi, grożącym katastrofą eksperymentem byłaby budowa kładki porozumienia w formie przez inicjatorów proponowanej.

Społeczeństwo całe, bez różnicy przekonań politycznych, dzieli się na dwie grupy. Jedna to posiadacze posad i stanowisk, druga to tłum bezrobotnych inteligentów, ofiar bezkrwawego mordu, karmionego codziennie odpadkami obietnic ze stołu panów na Parnasie.

W mentalności starszych, wykute zostało mniemanie, że przywilejem (coś tak jak liberum veto) drugiej grupy jest tylko prośba.

Do świata niezrozumiałej fantazji i wytworu chorego manjactwa, zaliczane są jakiekolwiek chęci wyzwolenia z pod jarzma, które coraz to bardziej zaciska się na szyjach biednych męczenników, mających nieszczęście urodzić się w latach 1902—1914

Fałszem jednak i nieprawdą byłoby twierdzenie, że ze strony młodego pokolenia nie było prób dążących do usamodzielnienia bycia, do wprowadzenia na forum państwowe, nowych sił zasobnych w energję twórczą i chęć pracy.

Wszystkie organizacje młodzieżowe, czy to Myśl Mocarstwowa, czy Legjon Młodych, czy wreszcie, stojący na innym ideowo krańcu Obóz Wielkiej Polski, starały się za wszelką cenę acz różnemi środkami i metodami wprowadzać swe programy. Jednak wprowadzały je przy pomocy i współpracy starszego społeczeństwa, widzącego *w chwilowych rozgrywkach* czystą korzyść dla własnego interesu.

Groźba istnienia niezależnego ruchu młodzieżowego nabrała cech wyraźnego niebezpieczeństwa z chwilą, gdy przywódcy ideowi poszczególnych organizacji rozumieć zaczeli zło płynące z owej, narzuconej koniecznością bycia lub niebycia współpracy, i zwolna, lecz systematycznie więzy one poczęli rozluźniać.

I przyszło uderzenie ze strony wówczas najmniej spodziewanej, uderzenie tem boleśniejsze, bo od tyłu.

W momencie gdy organizacje młodzieżowe traciły siły i płuca wypluwały nad sparaliżowaniem akcyj swych politycznych przeciwników — padły ciosy.

W roku 1932 ciężko zraniono najbardziej zcementowaną ideowo Myśl Mocarstwową, w roku 1933 inna politycznie grupa starszego pokolenia zamknęła kaletę z pieniędzmi d'a Obozu Wielkiej Polski, w roku 1934 przyszła kolej na Legjon Młodych.

Obraz tego pobojowiska zwolna poczyna matować i zacierać się i nie cieszy już starszych, zasobnych w brzęczące „myśli", panów miłą niegdyś ciepłotą barw.

Cisza, która owionęła leczące się z ran organizacje, dźwięczy w uszach starego pokolenia marszem pogrzebowym, gromem memento czynu, który przetnie wreszcie chorobliwy stan i pójdzie innym, niż ongiś torem.

Drzą więc w męce oczekiwania tłuste podbródki, usta tylko ślą przymilne uśmiechy głosząc na wsze strony dobrą wolę i szczytną ideę porozumienia.

Staruszkowie mają dużo dowcipu, ba nawet na kuglarskie w stylu Elacamana rzucają się sztuczki, jednak ocena kabotyńskich zdolności tym razem wypada niżej zera.

Nie tędy do nas droga Panowie, czas już pogodzić się z losem i czasem, i nie obłudą pryskać dokoła, nie pod płaszczykiem zrozumienia interesów młodzieży szukać jej słabych stron, a stuknąć się mocno w piersi, gromkim głosem zawołać „nasza wina" i wycofać się póki jeszcze do odwrotu wolna droga z zajmowanych zbyt długo twierdz

Przecież dzisiejsi *liszeńcy*, z uniwersyteckiem wykształceniem, nie będą ciągle masą płynną a giętką, daremnie przelewającą się przez przedpokoje gabinetów dyrektorów personalnych, nie będą nadal w tępocie i beznadziei oczekiwali otwarcia testamentu łaskawie przez staruszków pozostawionego.

Równolegle idzie tragedja socjalna naszego pokolenia, brak możności znalezienia pracy przez absolwentów Wyższych Uczelni, która doprowadza do tego, że inżynierom z dyplomem proponuje się sprzedawanie *baloników w Alejach*...

Zastanówcie się nad tem panowie starszyzna, i nie podchodźcie do nas z pustemi acz pięknemi słowami i tylko jedną ręką do zgody wyciągniętą.

Lepiej o swem istnieniu młodemu pokoleniu nie przypominać niż dawać z uwiądu starczego powstałe pomysły.

R. ŚNIECHÓRSKI

Dokończenie ze strony 3-ej

ALBERTYN

pokrywają się z celami naszych łacińskich współbraci, a więc po pierwsze obowiązki i cele nasze zakonne, następnie misje wśród ludności, dalej celem naszym jest przygotowanie pracowników dla misyjnych terenów dzisiejszej Bolszewji, Zarzucają nam, iż pracą naszą rysyfikujemy i tak już zrusyfikowane kresy, chciałbym przeto udzielić panu pod tym względem trochę informacyj. My właściwie przez akcję naszą zajmujemy do pewnego stopnia miejsce duchownych prawosławnych, i każdy, że tak powiem, plus na naszym koncie równocześnie odpowiada zmniejszeniu się wpływów prawosławja na lud Każdy, kto choć trochę orjentuje się w stosusnkach prawosławnych, rozumie aż nadto dobrze, iż absolutnie nic się tam nie robi w celu odrusyfikowania naszych wschodnich terenów, my natomiast bodajże pierwsi wprowadziliśmy do naszych cerkwi język białoruski, którego kler prawosławny nie używa i używać nie chce. Wydajemy w Wilnie miesięcznik białoruski. Z drugiej stronu musimy jednakże na względzie mieć i język rosyjski, ponieważ tereny, na których pracujemy są dość gęsto zaludnione przez inteligencję rosyjską, którą również naszą akcją obejmujemy, a której etyka zabrania nam wynaradawiać. Wszystkie poważniejsze przyłączania do Kościoła ostatnich lat kilku były u nas przeważnie wśród emigranckiej inteligencji rosyjskiej; ludzie ci przyjmowali Unję po naprawdę długiej a ciężkiej walce duchowej, z całkowitem zrozumieniem tego, co czynią. Uważam przeto, że tylko dyletanci mogą nas obwiniać w rusyfikacji kresów. Wśród ludności, szczególnie polskiej, cieszymy się naprawdę wielką sympatją. Ludzi ci, naogół prości, żyjący przedewszystkiem sercem i duszą, a potem dopiero rozmaitemi spekulacjami rozumowemi najlepiej rozumieją, iż mimo nasze brody i ryzy jesteśmy prawdziwymi kapłanami kakatolickimi, niczem nie gorszymi od naszych współbraci — łacinników. Nasz wygląd zewnętrzny bynajmiej ich nie razi, jak to niektórzy panowie chcą wmówić opinji publicznej. Dowody tego zbieramy aż zbyt często, by można było o tem zapomnieć. Setki spowiedzi wysłuchanych przez nas „brodatych" jezuitów po kościołach łacińskich, dokąd jesteśmy zapraszani przez Księży Proboszczów nie rzadko na prośby samych parafjan są tego najlepszym dowodem, Co dotyczy rezultatów naszej pracy, muszę przedewszystkiem zaznaczyć, iż całkiem nie chodzi nam o cyfry, nie chodzi nam o ilość, lecz tylko i wyłącznie o jakość. Niech będą one nie wielkie, ale jakościowo niechaj przedstawiają siłę. Chcemy, by ludzie, którzy przychodzą do nas byli wewnętrznie wyrobieni, by krok na który się zdecydowali był przez nich całkowicie zrozumiałym. Jednak mimo to i cyfry nie są tak zastraszająco małe, Nasza albertyńska parafja liczy około 500 dusz, Synkowicka, gdzie, jak już panu wspomniałem, proboszczem jest jeden z naszych, liczy około półtora tysiąca, — Uważam przeto, iż nie jest to tak znikomy wynik (tembardziej, że liczba ta stale wzrasta), jeśli wziąć pod uwagę wytężono kontrakcję prawosławnych dla których w walce z nami nie istnieją granice etyki, czy przyzwoitości. Literatura nasza unijna też nieźle się przedstawia W Wilnie wychodzą dwa miesięczniki po rosyjsku „K Sojedinieniju i po białorusku „Da Złuczeńnia", w Krakowie wydajemy w języku polskim dwumiesięcznik „Oriens", poświęcony sprawom religijnym Wschodu.

— A jakiego Ojcowie trzymają się tutaj obrządku? — rzucam nieśmiałe pytanie.

— Co dotyczy obrządku, to trzymamy się jak najdokładniej przepisów Rzymu. Obrządek mamy bizantyński, synodalny. Jest rzeczą zrozumiałą że tak, a nie inaczej akcję naszą prowadzić musimy, Wszak właściwie my jesteśmy dla tej ludności a nie ludność dla nas, powinniśmy przeto zastosować się do jej obrzędowości i zwyczajów, jak zarówno i do jej tradycji, na której moglibyśmy budować, Unję, a właściwie raczej ją odbudować. Unja, proszę pana, żyje w tradycji tutejszego ludu, strony tutejsze mają poza sobą świetny jej rozwój, w samym rozkwicie podcięty przez rząd carski, Niedalekie Zyrowice, gdzie przełożonym klasztoru był Św. Józafat, są najlepszym tego dowodem. Sobór prawosławny w Słoninie to klasztor kanoników laterańskich, gdzie tylko sięgnąć okiem wszędzie natrafia się na stare, usilnie zacierane, ślady Unji, Tą Unję przywrócić, przywrócić świetne czasy Terleckich, Rutskich, Kuncewiczów — oto nasz cel i zadanie, A proszę nie zapominać, iż ludzie ci to nie tylko bojownicy jedności Kościoła — to bojownicy jedności współpracy dwóch bratnich słowiańskich Narodów jedne zamieszkujących ziemie, Unja bowiem jest tym pomostem, który może zbliżyć dzień zjednania wszystkich Słowian zamieszkujących Polskę, który może przyczynić się nie tylko do zjednoczenia religijnego, ale i politycznego tutujszych ziem z Polską. Dotąd ludność tutejsza jest prawosławna zawsze, będzie grawitować w stronę Rosji, co zbyt miłą dla naszej polityki perspektywą nie jest.

Kończymy tę i tak przydługą naszą rozmowę i opuszczamy ciche progi albertyńskiego monasteru. Opuszczamy je z tem przeświadczeniem, że tworzy się tam wielkie naprawdę dzieło katolickie, które *katolickiej* Polsce nie powinno być obojętnem.

WYJAŚNIENIE O WYJAŚNIENIU

Do Szanownego P. Redaktora
„P R O B L E M Ó W"
w/m ul. Frascati 18

Wielce Szanowny Panie Redaktorze.

W związku z notatką jaka się ukazała w Nr 3(4) „Problemów" z dnia 15 stycznia r. b., p. t. „Wyjaśnienie" a podpisaną przez p. Włodzimierza Korab - Lamparskiego, komunikuję co następuje: 1) **p. Włodzimierz Korab-Lamparski nie jest redaktorem naczelnym czasopisma p. t. „Akcja Literacka"**, a tylko redaktorem **odpowiedzialnym**, podpisującym pismo to jako jeden z członków grupy literackiej Realistów Polskich. 2) Co zaś się tyczy napastliwej notatki na temat „Problemów", o której pisze p. Włodzimierz Korab-Lamparski, to przedostała się ona — dzięki niedopatrzeniu — przez jednego z naszych współpracowników, który koregował numer pisma do druku. Prostując tę nieścisłość „wyjaśnienia" p. Wł. K.-Lamparskiego, pokładam nadzieję iż Wielce Szanowny Pan Redaktor zechce opublikować to w swem cennem piśmie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Wydawca „Akcji Literackiej"
Władysław Bocheński

Mamy nadzieję, że już **trzeciego** wyjaśnienia od A. L. nie otrzymamy.

P. T. Szan. Prenumeratorów prosimy w ich interesie o podawanie zmian adresów.

C O P I S Z Ą U K R A I Ń C Y ?

Ś. p. Michał Hruszewski

Prasa ukraińska, bez różnicy kierunku, bardzo dużo miejsca poświęca wspomnieniom po ś. p. Michale Hruszewskim, słynnym ukraińskim historyku, Samo to, najdobitniej świadczy, o wielkiej roli Hruszewskiego i poczesnem miejscu, jakie zajął wśród ukraińskich historjografów.

Hruszewski pochodził ze starej duchownej rodziny. (Ojciec był księdzem). Urodził się w Chełmie, w 1866 r. Pobyt w gimnazjum w Tyflisie zwiększył jeszcze jego świadomość narodową, dzięki atmosferze nacjonalnych konfliktów, różnych miejscowych kultur i rosyjskiemu centralizmowi. „Wszystko to — powiedział kiedyś przy sposobności Hruszewski — egzaltowało moje uczucie nacjonalne i robiło je centrem mych myśli i emocji".

Już jako młody gimnazjalista pisywał wiersze i opowiadania. Do poważnej pracy historycznej, przystąpił na Uniwersytecie w Kijowie, pod kierownictwem prof. W Antonowicza. Rezultatem tej pracy, była nadzwyczaj poważna monografja „Zarys historji Kijowszczyzny, od śmierci Jarosława, do końca XIV w." Za pracę tą otrzymał Hruszewski, złoty medal. Za drugą pracę p. t. „Starostwo Barskie", otrzymał stopień magistra.

W r. 1894 Hruszewski otrzymuje katedrę Historji Ukrainy. na Uniwersytecie Lwowskim. Tu rozwija olbrzymią działalność naukową. Współpracuje bardzo wydatnie z Tow. Naukowem im. Szewczenka, gdzie jest redaktorem „Zapysok".

Za punkt honoru uważał on napisać pełną naukową historję Ukrainy. I rzeczywiście od r. 1897, aż do wojny wydał 8 tomów tego cennego dzieła (doprowadzonego do r. 1638).

Z wybuchem wojny światowej, Hruszewski wraca na Ukrainę i staje na czele niezależnej ukr. politycznej partji — Centralna Rada. Pod jego przewodnictwem Centralna Rada staję się krajowym parlamentem Ukrainy — sam Hruszewski prezydentem U. N. R. Mimo wszystko i na tem ważnem stanowisku nie zaprzestaje pracy naukowej i publicystycznej. Zbiór swych ważniejszych artykułów wydał w osobnej książce: „Na progu Nowej Ukrainy".

Rewolucja zmusiła go do wyjazdu za granicę. Podróżuje po całej Europie. Przeważnie żyje w Wiedniu, Pradze, Berlinie, Genewie i Paryżu.

Z końcem 1923 r. Ukraińska Akademja Nauk wybiera Hruszewskiego na swego członka. Za zgodą Sowietów, wraca w 1924 r. na Ukrainę i kontynuuje swą pracę naukową.

Niedługo jednakże pozwolono mu spokojnie pracować. W 1929 r. zainscenizowano słynny proces „Spółki Wyzwolenia Ukrainy", gdzie ofiarą padli najbliżsi współpracownicy Hruszewskiego. Wreszcie przyszła kolej i na niego. Rozpoczęto nań nagankę prasową, w końcu zesłano go do Moskwy. Tutaj żył w strasznej materjalnej biedzie, cierpiąc również moralnie, iż nie mógł pracować dla nauki i swego narodu.

W moskiewskiem zesłaniu, zaczął Hruszewski zapadać poważnie na zdrowiu. Wreszcie wyczerpany organizm nie wytrzymał choroby i cały cywilizowany świat zelektryzowała wiadomość o jego śmiercj.

Hruszewski — pisze Doroszenko w Wistnyku—padł nie jako przypadkowa ofiara warunków społecznych, jednakowych dla wszystkich mieszkańców sowieckiego „raju", ale jako świadomo zamęczony przez czerwoną Moskwę niebezpieczny, nawet w czysto naukowej dziedzinie, ukraiński działacz narodowy.

Miesiąc Dobrej Rady

Cała prasa ukraińska wzywa w b.m.— jako w miesiącu dobrej prasy — swych czytelników do prenumerowania i popierania katolickich wydawnictw. „Ukraińskyj Beskyd", z dn. 20 stycznia b. r. w notatce p. tytułem: **„Czego chcą wrogowie katolickiej prasy?"** pisze:

1. Abyś nigdy nie czytał katolickiej gazety.
2. Abyś chwalił tylko taką gazetę, którą posyłają tobie bezpłatnie.
3. Abyś wierzył, że to wszystko, co pisze gazeta przysyłana tobie bezpłatnie, jest prawdą.
4. Aby Ukraińcy nie mieli własnej prasy.
5. Abyś nie znał, ile złego w świecie narobiła liberalna, radykalna i antykatolicka prasa.
6. Abyś wogóle, był ciemnym i byś nie wiedział, kto twym przyjacielem, a kto wrogiem.

Nie zapominaj, że styczeń, to miesiąc katolickiej prasy.

I trzeba przyznać, że zbiorowy wysiłek katolickiej prasy ukraińskiej, wydaje wyniki naprawdę poważne. Nie ma wsi, nie mówiąc już o miastach i miasteczkach, gdzieby nie prenumerowano, po kilkadziesiąt egzemplarzy, dobrych czasopism katolickich. A i same czasopisma też przedstawiają się imponująco. Każdy: inteligent, rzemieślnik, literat, student, wieśniak, czy dziecko — dosłownie każdy, może znaleźć dla siebie odpowiednie pismo. **I co tu wiele mówić o ciemnocie i niskim poziomie kulturalnym Ukraińców?!..**

Duch Arch. Witaljusza na Łemkowszczyźnie

Ten sam „Ukrainśkyj Beskid" z dn. 27 I. b. r. podaje w artykule p. t. „Prawosławie rusyfikuje Łemkowszczyznę", garść faktów z „apostolskiej" działalności prawosławnych misjonarzy. Autor artykułu, p. Rościsław Gorlicki, przedstawia doskonale rusyfikacyjną działalność misjonarzy prawosławia: Warszawskie „Słowo", tygodnik prawosławny rosyjski, — rosyjskie książki, rosyjskie kazania — oto metody prowadzenia „apostolskiej" pracy. Nie pomogą tu nic żadne patrjotyczne pieśni w cerkwiach, nie pomogą nawet gdzie niegdzie polskie kazania — mówione na pokaz, — dopóki duchowni prawosławni będą się uważać za „istinno russkich ludiej".

Rusycyzm — pisze p. G. — jest drugą przyrodą prawosławja i **wszelka zewnętrzna polska polityka** w niem, to — jak mnie się zdaje — **zamydlenie oczu** dla naiwno, dziecinnie i płytko myślących jednostek, w polskiem społeczeństwie, które podtrzymują prawosławie i moskiewskich lizusów.

Bezbożnictwo niezjednanych

Pod takim tytułem, lwowska „Prawda" zamieszcza poniższą notatkę:

„Wśród prawosławnych mieszkańców Polesia, szerzy się w zastraszający sposób komunizm i bezbożnictwo. We wsi Staszynce, pow. Grodnieńskiego, miejscowi katolicy postawili krzyż. Niewykryci sprawcy zbeszcześcili niedawno krzyż, rozbijając kamieniami postać Chrystusa. Domyślają się, że to zrobiła komunizująca młodzież, ze wsi Staszynce. Znowu we wsi Parfinówce, urządzili bezbożnicy pochód, wyśmiewając prawosławną liturgję i bluźniąc Bogu. **W pochodzie wzięli udział sami prawosławni.**

Opisane powyżej wypadki, nie są tylko pojedyńczemi. Można byłoby przytoczyć dużo innych Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie wolno nam patrzeć obojętnie na to stopniowe, lecz jednak konsekwentne komunizowanie naszych kresów. Duchowieństwo prawosławne, jako duchowi przewodnicy tego ludu, zamiast uprawiać bezsensowną już dzisiaj politykę rusyfikacyjną, powinnoby raczej wziąść się do wytężonej pracy nad tym zaniedbanym ludem kresowym w jego ojczystym języku. Ubiegnie go inaczej komunistyczny agitator, a jeśli ten nie wyrwie z jego serca wiary w Boga, ubiegnie go.. katolicki kapłan, który w ojczystym jego języku, da mu potrzebny dla ducha pokarmu. **Nie chcemy komplimentów, w rodzaju „Boże coś Polskę" na galówkach, żądamy natomiast od duchowieństwa prawosławnego intensywnej pracy nad powierzonym jego pieczy ludem.**

Czy literatura polska odpowiada zadaniom duchowego pokarmu dla narodu?

Na pytanie to odpowiadają ukraińskie „Dzwony" z. 12 u. r. w artykule zatytułowanym: „Literatura Odrodzonej Polski".

„Można odpowiedzieć, że pod pewnemi względami nie (odpowiada). Bo ta młoda literatura dopiero szuka dróg i to tak w temacie, jak i w formie. To poszukiwanie jest wypływem i zewnętrznych czynników, jakie po wojnie dały twórczości literackiej niezliczoną ilość tematów i form poetyckich, które zagłuszyły myśli przewodnie. Jednak kiedy chodzi o odzwierciedlenie moralnych czy etycznych wartości ludzkości, literatura polska zastanawia się jedynie nad pojedyńczemi przejawami, roztrząsa grzechy przeszłości, ale nie wszystko może podać dla celu duchowej odbudowy zepsutego wojną człowieka. Wprawdzie powstaje szereg społeczno-obyczajowych powieści, których celem jest rozwiązanie etyczno-moralnych problemów człowieka wogóle, nie tylko Polaka, na tle wojennych i powojennych warunków. Powieściopisarze czy noweliści starają się w swych powieściach wykazać, jakie zło przyniesie wojna i jeszcze gorsze powojenne lata. Przecież nie zawsze umieją pokazać sposób wyjścia ze zła. Często **brakuje** ich moralizowaniu **religijno etycznej podstawy, a idea katolickości** nie znalazła jeszcze prawdziwej literackiej formy (sic!)".

Całkowicie zgadzamy się pod tym względem z autorem artykułu. Wiele jednak czasu jeszcze minie, zanim młoda powojenna Polska odwróci się od literatury czerwonej Rosji, tak w tłumaczeniach, jak i w literaturze oryginalnej, a raczej zwróci się ku katolickiemu Zachodowi.

Okno z nad Dniestru do Europy

To samo wydawnictwo donosi o powstaniu nowego wydawnictwa ukr. „Uniwersalna Bibljoteka" w Stanisławowie. Inicjatorem i założycielem „Bibljoteki" jest p. Iwan Stawnyczyj. „Bibljoteka" postawiła sobie, jako główne zadanie, wydawanie dzieł klasyków, jak i również nowszych pisarzy ukraińskich, oraz tłumaczenia najładniejszych utworów literatury europejskiej, „aby w ten sposób **wybić okno z nad Dniestru do Europy**". Pracę swą wydawnictwo zaczęło od „Kobzaria" Szewczenka, jako podstawowej książki ukr. literatury.

Pozatem należy podnieść b. niską cenę wydawanych książek (50 gr—1.50).

Kultura Ukraińców podnosi się szybko.

W. W.

NOWOCZESNY ZAKLINACZ SZCZURÓW...
(LEON BLUM)



(„JE SUIS PARTOUT")

Na marginesie masowej emigracji komunistów z Zagłębia Saary.

Dokończenie ze str. 2

KSIĄŻKA LUDWIGA O HINDENBURGU

i t. d. istniało żywe dążenie, do jedności ustawodawczej, do zamazywania różnic, choćby ze względu na sympatję do wszystkich ruchów odnowicielskich. Tendencji separastycznych nie było, wręcz przciwnie.

I republika niemiecka poczęta niby to z ideologji wiosny ludów, kiedy chciano na barykadach wolność dla Niemców zdobyć, nie zdołała wprawić w ruch, tego przez los zesłanego jej argumentu. Uczynił to z całą świadomością, rozpędem i rozmachem narodowy socjalizm. Uczynił to naturalnie tylko dlatego, że nie ruszyła się z miejsca republika.

I po kolei płowiały sztandary, ani ulg w warunkach pokojowych, aninowego zjednoczenia, ani wielkiego programu odbudowy, ani zwycięstw efektownych w polityce wewnętrznej... szary dzień klęski, słotny dzień podatkowy i bezrobocie... Umierała republika z ubytku czerwonych ciałek krwi, nie stała się wydarzeniem w psychice Niemców, mokry sztandar zaniesiono do lamusa... a rznięcie republikanów, tych nielicznych zresztą robili Hitlerowcy, już dla własnej przyjemności, gdyż ci słabeusze, dla nikogo groźni nie byli.. Czy upadek republiki weimarskiej, był klęską dla demokracji europejskiej? Czy socjalizm niemiecki był siłą, z którą można się było liczyć? Na oba re pytania, a po nich można stawiać jeszcze wiele, równie ważnych, musimy odpowiedzieć niestety przecząco. Niestety ani upadek republiki, nie był klęską dla demokracji, ani socjalizm niemiecki, nie okazał się sił. Republika bowiem nie zaznaczyła swego istnienia czyuami żywymi, energicznymi, socjalizm niemiecki był skomolikowanym aparatem biurokratycznym, a zdolności działania, nie posiadał zupełnie.

W tej olbrzymiej formie, nie było treści. A gdyby się pojawiła, czy wywalczy dla siebie formę? Hitler czuwa, by to się nie stało.

r.

LISTY DO REDAKCJI

SENATORZY A KONSTYTUCJA

Otrzymaliśmy list następujący:

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

W ostatnim numerze „Problemów" ukazał się artykuł p. t. „Wielki margines" podpisany pseudonimem „Osum", którego autor omawia ostatnią dyskusję konstytucyjną w Senacie, czyniąc zarzut senatorom, że mimo iż „senat jest bądź co bądź naszem najlepiej udanem ciałem politycznem (zwarta większość, wielki procent inteligentów, wysoka granica wieku dla elektów)", mimo tego dyskusja w Senacie była wyjątkowo „ospała i leniwa".

Otóż mojem zdaniem słabe zainteresowanie Konstytucją nie dowodzi głupoty senatorów, ale ich **mądrości.** Rozumieją bowiem, iż jest to twór stworzony dla ochrony prawnej starzejącego się regime, u, który z nim jako doczepka do siły fizycznej upadnie. Ktoby się np. interesował konstytucją Konwencji w czasie rewolucji francuskiej i różnemi termidorami?

Tak więc — powtarzam — nasi senatorzy swoją wstrzemięźliwością w czasie debaty konstytucyjnej dali wyraz dużego realizmu politycznego.

Łączę wyrazy i t. d.

Stanisław Jabłkowski

Nowy Sącz, 24 stycznia 1935.

DENUNCJACJA, POGRÓŻKI, OBELGI

1. W Nr 1 „Problemów" artykuł p. t. „Faszyzacja Uniwersytetów zakończyłem takim ustępem:

Faszyzm Legjonu Młodych to faszyzm rosyjski, czyli faszyzm schlebiający demagogji tłumu, czyli bezmyślny i ciemny, to faszyzm z jednej strony brutalny, z drugiej podejrzliwy (mafje, żandarmerje) tchórzliwy, służalczy.

Stanowisko nasze. Otóż my nie chcemy takiej Polski, my gardzimy taką Polską, my nie chcemy naginania, poniżania obywatela przez grupę uprzywilejowanych, ale my chcemy wielkość naszej ojczyzny budować na pierwiastkach humanitarnych, szlachetnych, miłości bliźniego, opierając się na przeświadczeniu, że obywatel nie będzie zawsze złym, aspołecznym, szkodnikiem, ale że może stać się świadomym swych obowiązków, prawym i zdolnym do poświęceń.

W związku z powyższem naczelny organ Legjonu Młodych „Państwo Pracy" nie zdobyło się na dowcipniejszą odpowiedź, jak... denuncjować mnie, że „gardzę Polską" wogóle!

2. Jednocześnie wyczytałem i pogróżki pod moim adresem. Pośpieszam jednak uspokoić nielicznych przyjaciół, którzyby mieli zamiar niepokoić się o los mej osoby: już przed pół rokiem w numerze z 10 czerwca ub. r. grożono mi, a jakoś cało i zdrowo chodzę do tego czasu.

3. Pozatem z przykrością p awdziwą uznaję się zgóry za pokonanego we wszystkich dyskusjach z „Państwem Pracy" tak przeszłych jak i przyszłych, gdyż zamiast argumentów otrzymuję obelgi, na które nie mam zamiaru odpowiadać.

M i e c z y s ł a w P r u s z y ń s k i

P R E N U M E R A T A:

Rocznie	6,00	**Kwartalnie**	1,50
(akadem.)	4,00	(akadem.)	1,00
Numer pojedyńczy . .	30 gr.	**Półrocznie**	3,00
		(akadem.)	2,00

REDAKCJA

czynna codzień prócz niedziel i świąt w godz. 11 do 12.

ADMINISTRACJA

czynna codzień prócz niedziel i świąt w godz. 11—12 i 15—17.

Ulica Frascati 18. Tel. 9-96-19.

Wydawca:

PIOTR DUNIN BORKOWSKI

Redaktor odpowiedzialny:

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Drukarnia Kooperatywy Pracowników Drukarskich Warszawa, Zielna 47. Tel. 619-57.